



ANTONINA DOMAŃSKA

Królewska niedola

ANTONINA DOMAŃSKA

Królewska niedola

POWIEŚĆ Z CZASÓW KRÓLA ŁOKIETKA

ROZDZIAŁ PIERWSZY. U BASZTY IGLARZY.

Marcin Wilga, starszy cechu orylów i włóczków¹, sprawiał imieniny. Wczesnym popołudniem zaczęli się schodzić kumotrowie i przyjaciele, kumoszki i krewniaczki.

Dworek Marcina położony na przedmieściu Krakowa, zwanym *Rybaki*, oddzielony był od Wisły małym tylko ogródkiem i składał się z dwóch izb i kuchni. Wchodziło się po czterech schodkach na ganek z dwiema ławkami, potem do sieni; z sieni na prawo była izba mieszkalna Marcinów i Jagny, ich jedynaczki, na lewo świetlica, czyli bawialnia, w dni uroczystości rodzinnych.

Dziś ta świetlica roila się od gości, a coraz to nowi przybywali. Marcinowa krzątała się z córką w kuchni; krajały białe ciasto na cieńsze kawałki, a żytni chleb na grube kromki; składały na jednej płaskiej misie plastry słoniny i kielbasy, na drugiej pięknie upieczone i zręcznie rozebrane gęsi, jako przynależny w dzień tak uroczysty. Duże sito aż się rwało pod stosem glonków sera z kminkiem, na drugim piętrzyła się góra miodowych placzków.

Gdy już wszystko było pięknie zładzone², zawołano do pomocy Kasię Jędrusównę, siostrzenicę Marcinowej; i weszły wszystkie trzy do świetlicy z wielką okazałością, dźwigając sutą przekąskę. Dzbany z owsianym piwem warzonym w domu i gąsiory z miodem stały w sieni za drzwiami; wiadomo bowiem każdemu, że napój wszelaki ma rozgrzewać serce i wnętrze człowieka, ale sam winien być wystudzony jak należy. Ciepłym piwem nikogo nie uraczysz.

Rozpoczęło się częstowanie, przymawianie, zapraszanie, jako przystoi w prawdziwie gościnnym domu. Ukazały się półkwarcia z piwem i mniejsze, blaszane kubki z miodem. Pito na zdrowie solenizanta, na podziękowanie gospodyni, na prędkie weselisko Jagienki, na pomyślność całej rodziny, na powodzenie cechu. Zasię Marcin kłaniał się na wsze strony, dziękował i wnosił zdrowie sławetnych panów *Starszych*, panów *Majstrów*, a sercem umiłowanych kumotrów. Zaczem odsapnąwszy nieco, pił na zdrowie młodzieży, w ręce najstarszego z czeladzi rzemieślniczej, której ze względu na złotowłosą Jagnę i czarnobrewą Kasię zebrało się sporo.

Gdy już pierwszy smak zaspokojono, a pochwały wybornego jadła i grzeczne słówka nieco przycichły, Marcin pociągnął żonę za rękaw.

— Matka, zaściel ta świeżym obruskiem stół w przeciwnku, Jagna niech przystroi kubków i ze dwa gąsiorki; my starsi pójdziemy sobie na pogawędkę do spokojnego kąta, będą mieli młodzi więcej miejsca do zabawy.

Kilku poważnych wiekiem gospodarzy i dwóch czy trzech młodszych przeszło za Marcinem do izby na prawo i tam, choć zupełnie na uboczu, jeszcze się rozejrzeli, czy nie ma gdzie w kącie jakiego wścibskiego wyrostka. Zaczem, sprawdziwszy, że są sami, obsiedli stół dokoła i rozmawiali półgłosem. Zafrasowane mieli miny, chmurne, zgnębione; to jeden, to drugi z majstrów dorzucał jakieś słowo, a każde takie słowo coraz to większym smutkiem oblekało twarze zgromadzonych.

Rej wiódł w kompanii Kasper, kościelny ze Skalki, który dzięki temu, że obsługiwał wielebną osobę księdza proboszcza już od lat szesnastu, mógł się nieraz nasłuchać ważnych

¹oryl a. włóczek — flisak a. holownik, pomagający flisakom w przeprowadzeniu tratwy w trudnych miejscach na rzece. [przypis edytorski]

²zładzony (daw.) — przygotowane, uporządkowane. [przypis edytorski]

i ciekawych rzeczy. Rycerstwo i duchowni panowie schodzili się co dzień prawie na narady u księdza Marka z Poznania. Stary Kasper cieszył się zaufaniem i łaską swego pana, przeto dokładając drewek na komin albo napelniając kielichy gościom, śmieie się przysłuchiwał a pilne dawał baczenie na to, co mówili.

— Skądże tak pewnie gadacie, kumotrze, że całe to nieszczęście ino przezą zdradę się stało?

— Wiem ja dobrze, co mówię. Nikto nie winien, ino³ krakowskie mieszczany⁴.

— Zmiłujcie się ludzie... zali⁵ to możliwe, aby te przybysze⁶ kasały rękę pańską? Toć polski chleb jedzą!

— Cichojcie⁷, Walenty... niech Kasper gada. Wszystko nam wyjaśni i rozpowie. Tedy więc?

— Tedy więc, komu nie wiadomo, trza wiedzieć, że w tej nieszczęsnej dobie kilku się dobija o wielkie księstwo krakowskie. Henryk wrocławski⁸, co to niby *Probus* się zwie, czyli prawym, siłę i moc ma za sobą, a niepoczciwie postępuje. Zasię po stronie księcia sieradzkiego Władysława, młodszego brata nieboszczyka Leszka Czarnego, stoją wszyscy, co matkę Polskę kochają.

— O raju, raju... Jak też to Kasper wszystkiego świadomy!

— Cichojcie, Walenty, dajcie mu gadać.

— Jak nie mam być świadom — odparł Kasper — skoro Bogiem i prawdą nie ma jednej narady beze mnie. Przychodzi pan krakowski⁹ i ksiądz biskup, wysłańcy z Poznania i Gniezna, i mój wielebny pan, i wojewodowie; a ja se w tej komnacie, co oni; tyle różnicy, że tamci siedzą na ławach, a ja stoję przy kominie. Słucham, co ino uszu starczy, jednego słowa nie uronię; a że człek z łaski Pana Jezusa ma tę kapkę oleju we łbie, to i składa jedno wedle drugiego, aby się kupy trzymało.

— A czemuż na Skalkę przychodzą? Toć słuszniej, by się wszyscy do biskupa trudzili, a nie jego przewielebność do pośledniejszych od siebie.

— A bo uważcie, książe Henryk ma szpiegów i donosicieli pełny Kraków; przez nich by się wiele niepotrzebnie dowiedział. Tedy lepiej się naradzać w spokojnym kącie u Skalcznego proboszcza, niżli u jakich znamienitych panów.

— Święta prawda. Gadajcież dalej, moiściewy!

— Ci, co księcia Władysława¹⁰ wbrew Probusowi na tron wzywają, dobrze wiedzą, co to za wielkie serce i mocny duch mieszka w onym¹¹ ciele niepozornym. Ksiądz biskup rzekł kiedyś do panów Rady: „Łoktek¹² on się zwie? A niechta; czyni onego mierzyć będziemy wielką miarą.”

— Dajże mu, Jezusie Nazareński, Matuzalowe¹³ lata, by rządził skołataną ojczyzną!

— Ano, com to chciał rzec... Ledwie się dostał umiłowany pan do Krakowa, ledwie co zasiadł na Wawelu, juści się porwał na niego ów Probus. Posłał z wielkim wojskiem krewniaka swego Henryka Lignickiego; dwa razy go na głowę pobito, dopiero za trzecim razem...

— Boże święty... co się to dzieje na świecie, a my, chudziny, rodzimy się, żyjemy i mrzemy, jako te myszy w norach, niczego nieświadomi.

— Cichojcież, Walenty...

— Jeden Pan Bóg Wszchemogący raczy wiedzieć — prawil Kasper — żaliby¹⁴ wróg zdobył nasze miasto, gdyby nie krakowskie mieszczany¹⁵. U jednej bramy miały psubraty

³ino (gw.) — tylko, jedynie. [przypis edytorski]

⁴krakowskie mieszczany — dziś popr. forma M lm: krakowscy mieszczanie. [przypis edytorski]

⁵zali a. żali(daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

⁶te przybysze — dziś popr. forma M lm: ci przybysze. [przypis edytorski]

⁷cichojcie (gw.) — bądźcie cicho, milczcie. [przypis edytorski]

⁸Henryk wrocławski, właśc. *Henryk VI Dobry* (a. Wrocławski; 1294–1335) — książe wrocławski w latach 1311–1335. [przypis edytorski]

⁹pan krakowski — tu: kasztelan krakowski. [przypis edytorski]

¹⁰książe Władysław — tu: Władysław Łokietek. [przypis edytorski]

¹¹on, onego (daw.) — ten, tego. [przypis edytorski]

¹²Łoktek (daw. forma) — Łokietek. [przypis edytorski]

¹³Matuzalowe lata — życie długie jak życie Matuzalema; Matuzalem, postać z *Biblii*, dziadek Noego, miał żyć prawie 1000 lat. [przypis edytorski]

¹⁴żaliby (daw.) — czy, czyby. [przypis edytorski]

¹⁵krakowskie mieszczany — dziś popr. forma M lm: krakowscy mieszczanie. [przypis edytorski]

swoich ludzi, to i wpuścili nocą żołdactwo tą bramą. A książę Łoktek właśnie naówczas obchodził straż i cudem ino niewypowiedzianym, omal już w ręku wroga będąc, zniknął w okamgnieniu, jakby się w ziemię zapadł. Tedy jakoż mam rzec? Niecną zdradą stało się nieszczęście i amen.

Słuchacze załamali ręce, niejednen miał łzy w oczach; któryś z młodszych zawołał:

— Żeby mi kto powiedział, jakim prawem te bezecniki wdarły się do naszego miasta i rozwiemożniły się tak srodze z krzywdą ludzką?

— A o Tatarach słyszeliście, Tomaszu, he?

— Juści, o Tatarach dziaduś mi opowiadali. Trzy roki mi było, gdy spadli na Polskę. Matkę chciał porwać taki jeden pies pogański; bronila się nieboga zębami i pazurami, tedy ją ciał jakimsi jataganem, czy inszą siekierą, i od jednego razu zamordował. Łaska Boska, że ani mnie, ani dziadka w jasyr nie pognali.

— Oj Tomaszu, Tomaszu... powały sięgacie głową, a... ot, nie dopowiem, bobyście się snadnie pogniewali.

— Cobym się miał gniewać? Wszakci nic szpetnego nie ma, żem urósł ponad innych.

— Ano... prawda. Tedy wiecie, dlaczego was Tatary nie wzięły?

— Pan Bóg to wie, nie ja.

— Słusznie, Pan Bóg to wie. Ale i ludzie odgadują niekiedy takowe zawikłane pytania. Ja bym więc moim głupim rozumem miarkował, że trzyletnie dziecko, to ino sroga mitrega w taborze; a z siwym pogarbionym dziadem takoz zawada i utrapienie. Dlatego was ostawili w spokoju. A za to wiecie, ile luda pobrali w straszną niewolę?

— Ino wciąż pytacie a pytacie... Cóżem ja prorok, albo jakowy świadowid, czy co?

— No, to już wam powiem: samych dziewuch i młodych niewiast dwa-dzie-ścia je-den ty-się-cy!¹⁶ A gospodarzy i parobków, bez liku!

— Ooo, to nie najlepiej się stało — frasobliwie kiwając głową rzekł Tomasz.

Obecni parsknęli śmiechem mimowoli, a Kasper dodał:

— Juści nie najlepiej. Gdybyście tę garstkę na krakowski rynek wysypali, toby tego pełniuszko było, głowa przy głowie.

— Aha, dworujcie sobie ze mnie, rozumiem się na żartach; a wam się może zda, żem matol? Krakowski rynek... hoho... ale się nie gniewam; starszemu człeku godzi się wybaczyć.

Gospodarz trącił Kaspra nieznacznie w ramię i szepnął:

— Ostawcie go; szkoda waszej mowy dla głupiego.

Głośno zaś rzekł:

— Cóż zaś mają Tatary do krakowskich mieszczan?

— Zaraz powiem do zrozumienia: Skoro one pohańce¹⁷ poszły, zabierając łupy i lud w niewolę, ino goła ziemia ostała, a zgliszcza, a pustka. Co było robić? Święta rola odłogiem leży, robotnika ani uświadczy, rzemiosła pozamierały, koniec świata i tyle.

— Wiadomo — rzucił Walenty — swój do swego zawždy ciągnie; ów książę Henryk milszy im, niż Polak z krwi i kości. Ponoś dawno zabaczył¹⁸, że z Piastowego jest gniazda; po polsku nawet nie umie. Jakoż mieli zachować wiarę Łokietkowi krakowsky mieszczanie?

Umilkł, a wszyscy zgromadzeni zamysłili się smutno. Kto mógł przewidzieć, jak rychło skończy się niedola księcia i całej ojczyzny.

Aż tu znienacka odezwał się Tomasz, cedząc słowo po słowie, z namysłem:

— Śmieliście się ze mnie, sławetni majstrowie; od razu zmiarkowałem, że ze mnie, choć zda mi się nie rzekłem nijakiego słowa do wesołości. Inszy by urazę w sercu chował, albo zgoła zwady szukał; jam spokojny człek, swarów nie lubię. Korci mnie jednakowóz, abym się na was pomścił co nieco za owe śmiechy.

Marcin podszedł ku niemu. Jako gospodarz obawiał się, by od słowa do słowa nie przyszło do kłótni, a kto wie... po tylu kubkach miodu... może i do bitki. Niepodobna gospodarzowi dopuścić do takiej ostateczności. Rzekł więc łagodnie, kładąc rękę na ramieniu Tomasza:

¹⁶dwa-dzie-ścia je-den ty-się-cy — dziś historycy podają mniejsze liczby, sięgające kilku tysięcy brańców obu płci. [przypis edytorski]

¹⁷one pohańce — ci poganie. [przypis edytorski]

¹⁸zabaczyć (daw.) — zapomnieć. [przypis edytorski]

— Ej kumotrze, cobyście się ta sierdzili; w pogwarce sto słów padnie z gęby, a głowa o nich nie wie. A przy imieninach, przy napitku, to się człowiek i roześmiejże czasem z byle czego. Szanujemy was przecie wszyscy, a całe *Rybaki* znają szkuty majstra Tomasza, jako są na Wiśle nieprześcignione.

Tomasz uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Chyba, że prawdę gadacie, Marcynie; jeden jest przemądrzały w mowie, drugiego rozum uwidzisz przy robocie. Niech ta już będę stratny; a za pokutę, żeście mnie obśmiali dzisiaj, proszę was pięknie wszystkich jakoście tu są zebrani, do mojej chałupy jutro na lososia. Wczorajem go ułowił, *oćwiara* niczem cielak.

— Bóg zapłać! Bóg zapłać! Stawimy się niechybnie! — odpowiedzieli.

— A jeśliście mniemali, co was moja pomsta ominie, to była szpetna pomyłka. Słuchajcie bacznie, rzekę wam coś: ja go widziałem, a wy nie!

— Kogo?

— Co takiego?

— Gdzie? — pytali jeden przez drugiego.

— Jak to kogo? Ma się wiedzieć, księcia Władysława.

— Władysława? Być nie może!

— Łokietka?

— Cóż za brednie!

— A nie brednie. Patrzałem nań z tak bliska, jako na was ninie¹⁹ patrzę.

— Kiedy?

— Dziś o piątej rano, na prymaryi²⁰ u św. Idziego.

— Przywidział wam się ktoś podobny.

— Aha... mądre słowo. Toli na cały Kraków jeden jest ino człeczek takowej mizernej postaci, prócz księcia.

— A prawda — przerwał mu Onufer, krupiarz z Pędzichowa — prawda, ksiądz Wincenty, pisarz u św Trójcy.

— Widzicie tedy, skoro znam księdza Wincentego, a nie on był na prymaryi, to musiał być książę.

— A ja się dam zabić, że dawno już uszedł z Krakowa. Tydzień by tu siedział u wroga w paszczy?

— Nie dajcie się zabić, boby was szkoda było — rozśmiał się Tomasz. — Widziałem go, jak Bóg na niebie.

— O rany Pana Jezusowie... Jeszcze go Probus pojmie w niewolę!

— A nam co do tego? Widno pilne sprawy zatrzymują go w Krakowie, to i nie pyta, czy bezpiecznie, albo nie. Zresztą... — Tomasz splunął wgardliwie i machnął ręką — czy to onym szpiegom pilno po prymaryjach biegać; w pierzu im cieplej niżli w kościele; to i nie lękało się panosko nieszczęśne błagać ratunku dla siebie i — dla biednej krainy, krzyżem leżący na mszy świętej.

— A potem co się stało?

— Za księdzem do zakrystyi poszedł i podział się gdzieś.

— W podziemiu jest izba obszerna — szepnął Kasper do Marcina — tam się może przez dzień ukrywa, a nocami narady ze swymi wiernymi odprawia.

Drzwi otwarły się z nagłą, w progu stanęło dwóch młodych chłopców: Jacek Rataj, bratanek, i Kuba Mocarny, chrześniak Marcina.

— A czego? — spytał gospodarz.

— Przyszliśmy się pokłonić i pożegnać was, ojcie chrzestny — rzekł Kuba — ściemnia się już, pora nam gnać do miasta, zaczem bramy pozawierają.

— Nie zdążycie, ostańcie na noc.

— Dziękujemy wam pięknie za dobre słowo — odparł Jacek, całując Marcina w rękę. — Majster by strasznie swarzył, gdybym nie wrócił dzisiaj; dy znacie Glasera, łącno się gniewa, a gdy zły, to wali, czem popadnie.

— Tak samo i Langmann — dodał Kuba — nijakiej wyrozumiałości nie zna. Bywajcie zdrowi, ojcie chrzestny. Ich Miłościom panom majstrom kłaniamy się.

¹⁹ninie (daw.) — teraz. [przypis edytorski]

²⁰prymaryja a. prymaria — msza poranna w obrządku katolickim. [przypis edytorski]

— Niech będzie pochwalony.

Wybiegli.

Szara mgła unosiła się nad rzeką, między domkami słały się wieczorne cienie. Tylko wąziuchna ścieżka, prowadząca z przedmieścia ku murom i basztom, wcale jeszcze była znaczna wśród zgniełej trawy i błotnistych kałuż. Gdzieniedzie bielily się na niej rzucone płaskie kamienie, wskazywały kierunek i dopomagały jako tako do przejścia.

Czeladnicy szli chwilę, nic do siebie nie mówiąc. Kuba przystanął nagle, rozejrzał się po niebie i po ziemi, i krzyknął:

— Jezus!... Jacek, noc zapada... śmigajmy co żywo!

— Juści, śmigajmy; a nowe ciżmy? Takeśmy ich strzegli tu idący, skakaliśmy po kamieniach niczem pchły.

— A, bo nie było strachu. Co ci ta o ciżmy, umyjesz, oczyścisz jutro; dziś trza nam pędem bieć, póki bramy otwarte.

— Ano, to dymaj przodem, ja za tobą.

Puścili się kłusem. Kuba walił na oślep, ani pytał, a rzadkie po tygodniowym deszczu błoto obryzgiwało mu kożuszek, skakało nawet do oczu. Spokojniejszego ducha Jacek szedł ostrożniej, ale i on ślizgał się co chwila i wpadał w kałuże, omal ukochanych ciżem nie pogubił.

Mijali wawelską górę. Tutaj ścieżka rozgałęziała się na troje: w prawo ku Grodzkiej bramie, w lewo wzdłuż murów ku baszcie Iglarzy, i nieco wstecz, poza miasto, ku błoniom i wsiom pobliskim. Przystanęli niepewni, którędy lepiej dobieć do miasta, gdy przenikliwy, ostry głos trąby, zwiastującej zaciąganie warty nocnej, i zamykanie bram, rozległ się donośnie w powietrzu.

— Masz tobie... — westchnął Jacek; — a teraz co? Czekaj no... — krzyknął — jeżeli cudem łaski Boskiej zatrzymali Szymka, mego ciotecznego, co tam już trzy roki służy, to nasza wygrana. Ino zbyrknę po swojemu, pozna, żem to ja, i uchyli furtki. Już mię nie raz, i nie dziesięć przepuszczał.

— Ano, to drała²¹ do Iglarzy!

Jacek podszedł jak mógł najciszej do samej baszty, stanął przy furtce, i zapukał lekko dwa razy po trzy razy. Baczne ucho żołnierza na warcie dosłyszało to podejrzone stukanie. W okrągłym otworze u góry drzwiczek ukazała się twarz jakaś wąsata.

— Co tam? — padło krótkie pytanie.

— To my, czeladź od majstrów Glasera i Langmana. Raczenie nas wpuścić do miasta. Żołdak mruknął niechętnie łamanym czeskim językiem:

— Wracajcie skądście przyszli. Ani bram, ani furtek nie otwiera się o tej porze.

— Chciejcie wasza miłość uczynić nam tę wygodę — prosił grzecznie Jacek — zapóźniliśmy się nieco, pilno nam.

— Idźcie precz! — podnosząc głos odparł strażnik. — Nie wpuszczę i amen.

— Nie wpuścicie? Ino rygiel odsunąć... co wam szkodzi?

— Ruszaj mi stąd polski pies, bo cię inaczej poczęstuję!

Na te słowa Kuba dotąd schowany za przyjacięlem, wyskoczył naprzód, krzyząc:

— A ty sobie co myślisz, przybłądo z końca świata? Kogo to psem przeżywasz? Krakowskie dziecko? Polskiego chłopca, co tu na swoich śmieciach siedzi? Co jego dziady i pradziady w tej świętej ziemi leżą? Psem będziesz przeżywał zbóju bezwstydnym? Tyś sam pies... bezdomny pies... W cudze legowisko się wdarułeś i jeszcze warczysz? Otwieraj furtkę!

Jacek, mniej skory do burdy, usunął się na bok i poglądał ku klasztorowi Franciszkanów, którego mury łączyły się przy baszcie z murem miejskim, a niższe były i gdzieniedzie nadwyrężone.

— Po co ten paliwoda zadziera ze strażą... — pomyślał — lepiej byśmy pokornie powiedzieli dobranoc, a przeczekawszy trzy pacierze, dałoby się jak nic przeleźć tędy na podwórze przewielebnych ojców. Z podwórza do ogrodu, przez płot na cmentarz Wszystkich Świętych, i już człek w domu.

Chciał Kubę pociągnąć za kożuch i szepnąć mu słowo, gdy wtem zamajaczyło mu coś jasnego przed oczyma. Spojrzał bystro, i aż się zachnął...

²¹drała (daw. pot.) — tu: biegnijmy. [przypis edytorski]

Tam wysoko, na poddaszu dzwonnicy franciszkańskiej błysnęło światło... Ktoś wyrzwał oknem i cofnął się. Chmury, przesłaniające księżyc, pomknęły z wiatrem, rozwidniło się na niebie i na ziemi. Świeczka na wieży zgasła, ale Jacek nie spuszczał oka z miejsca, w którym ją ujrzał.

Znowu się coś w oknie poruszyło; tym razem ukazały się trzy głowy. Za chwilę Jacek zobaczył coś więcej: ciemny duży przedmiot wysunięto poza obramienia okna i spuszczano go powoli ku dołowi.

Nie rozumiał, co to ma znaczyć, domyślał się tylko jakiejś tajemnicy.

Kuba tymczasem nie żałował płuc, ani języka, wrzeszczał wyzwiska najobelżywsze, wkońcu odskoczył wstecz, zadarł głowę i splunął w kierunku baszty.

— Masz! Tyleś u mnie wart, złodzieju

— Niech się ta klóć — przemknęło Jackowi przez głowę. — Mogliby żołnierze zauważyć co, posłyszeć szmer, lepiej, że się zajmą czym innym.

Kuba rozparł się szeroko na nogach, ujął się oburącz pod boki i kłął. Nic już nie miał do stracenia; zrozumiał, że ani dobrocią, ani złością nic nie wskóra, tedy mścił się bodaj gębą.

— To teraz taki porządek w sławetnej stolicy? To spokojne, uczciwe ludzie nawet nocować nie mają we własnym łozu? Toście wy siepacze katowscy, a nie wojsko książęce? Psie syny jedne!

W oknie dzwonnicy ukazali się znów ludzie... Ciemny przedmiot obsuwał się coraz niżej, widocznie zawieszony był na linach, które tamci trzymali.

— Kosz! — omal że głośno nie wykrzyknął Jacek. — Jak Boga Kocham kosz!... Człowiek w koszu!... O rety... żebyż go nie spostrzeżono!

Już nie ten sam wąsał, inny jakiś wartownik przyskoczył do okienka nad furtą.

— W tej chwili mi precz pójdziesz, smyku niedowarzony!

Kuba rozśmiał się zjadliwie.

— Ja smyk? Ano prawda, młodym jest. A tobie zazdrość, zbirze najemny, coś już lata zdarł w dziesięciorakiej służbie. Ileż ci płacą za dniówkę, he? Kto ci da grosz, ten twój pan! Chachachacha!

— A ty pędraku... błaznie jeden... zda ci się, że z babami masz do czynienia? Precz, bo kuszę naciągam i przestrzelę cię na wylot!

Tajemniczy kosz dotknął szczytu muru klasztorowego i zatrzymał się. Jacek przyskoczył do Kuby i szarpnął go z całej siły za rękę.

— Milcz, jeśli ci żywot miły! — szepnął mu w samo ucho, a głośno i dobitnie rzekł do żołnierza:

— Idziemy już oba, panie wachmistrzu, idziemy; raczcie wybaczyć chłystkowi głupiemu. Piwo mu w głowie szumi, to i plecie jak na mękach... Zdrowego snu wam życzę; dobranoc!

— Dobranoc — mruknął strażnik, zasuważąc okiennicę.

— O Jezu... szczęście, że sobie poszedł — westchnął Jacek.

— Cóżes ty rozum postradał, abo cię tchórze obleciały? — wrzasnął Kuba, ochłonawszy nieco z pierwszego zdumienia. — Puszczaj... pobiegnę do furtki; jeszcze mu za mało żelżywości nagadałem; niech sobie raz użyję. A to coś niesłychanego... takiego łotra bezecznika przeproszać będzie!

— Ani pary z gęby nie puścisz, bo cię uduszę — syknął Jacek i palcem wskazał na mur. — Rozumiesz teraz?

— A tam co takiego?

— Co? Człowiek jakiś ucieka; ojcowie mu niosą pomoc. Usunemy się dalej na prawo, coby nas z baszty nie dostrzeżono; może i my się na co przydamy.

Kosz osiadł na ziemi po zewnętrznej stronie muru.

— O Matko... fosa głęboka... wody niemal do pół... patrzaj no, Jacek... mnich jakiś!

— Zesuwa się... o rety... już ma po ramiona...

— Już po szyję...

— Trzeba go ratować...

Jacek położył się na brzegu fosy i odchrząknął cichutko.

Człowiek zanurzony w wodzie, podniósł głowę nasłuchując.

— Wielebny ojczu, nie lękajcie się... my swoi... ino śmiało do brzegu!... Tędy lepiej... na lewo... jeszcze na lewo...

— Cóż gadasz? Na prawo przecie... — szepnął Kuba.

— Nam na prawo, to jemu z przeciwnej strony na lewo.

— Chyćcie się mego kija... — szepnął Jacek — podciągnę was na wał... Nie bójcie się, nie puszcze... mocno trzymam.

— Tu nogę stawcie... tu wyrwa, jest się na czym zeprzeć.

— Jeszcze jeden krok w górę... podajcie mi drugą rękę.

— O Jezu, dzięki Ci... Już!

Habit zakonnika, ociekający wodą, przyłgął mu do ciała; drobny był to człek i zmi-zerowany; nie miał nawet czapki na głowie.

Chłopcy spojrzeli nań, potem na siebie, i jakby jakimś potężnemu hasłu posłuszni, padli obaj do nóg nieznajomego.

— Wyście to, Panie najmiłościwszy! — zawołał Jacek i podjął go za kolana.

— Bóg wam zapłać za serce i za pomoc... spieszno muszę uchodzić... wróg tuż... Noc mię przed nim skryje.

— Odpuście mi śmiałość niezmierną... nie baczcie na zuchwałstwo... — jękał Jacek.

— Zastługuję na Wasz gniew, Panie, ale co inszego mam robić? Zrzućcie ze siebie czym prędzej te mokre łachy; mój kożuch gruby, ciepły, wnetki się zagrzejecie.

— A moimi ciźmami też nie raczcie gardzić... — prosił Kuba. — I nogawice mam nowiuśkie...

— A moja czapa świeżo dzisiaj podszyta... Ważymy się uwłaczać waszej książęcej osobie.... widzi Pan Jezus jako rzucilibyśmy wam pod stopy bławaty i złociste lamy²². Nie patrzcie na nikczemność odzieży, najdobrotliwszy Panie; przecie co suchy kożuch, to nie mokre płachty; raczcie się przyodziać.

Władysław Łokietek przesunął ręką po oczach.

— A wy? Na takie zimno?...

— My? Nic nam się nie stanie! — zaśmiał się Jacek... — W dyrdki pobiegniemy nocować do wujka, ani pocujemy nawet.

Położył ręce na ich pochylonych głowach.

— Posłuzyliście mi, jako synowie ojcu. Jako od synów umiłowanych przyjmuję.

ROZDZIAŁ DRUGI. UPŁYNEŁO LAT PIĘTNAŚCIE.

Wcześniej zawitała wiosna do Polski w roku 1305. Pod koniec kwietnia zieleniły się już wszystkie łąki; spora trawka, przetykana kaczeńcem i stokrocią, runiała za powiewem wiatru. W sadach kwitły wiśnie, a na jabłoniach różowiły się nabrzmałe pączki; jeszcze dzień, jeszcze pół dnia, a pękną przejrzyste błonki, i drzewa staną w cudnej krasie, puszystym kwieciem osypane.

Ozimina ślicznie pokazuje, ludzie orzą co ino sił i dnia starczy, nieraz i do ciemnego wieczora. Skowronki biją skrzydełkami gdzieś aż pod samym niebem, chwala się aniołom, jak to u nas pięknie na ziemi, a Panu Jezusowi dziękują za słończko. Zaczem²³ spadają na świeżo zoraną ziemię, jak ten kamień z góry rzucony.

Nawet nagie skały w Ojcowskim Wąwozie nie takie szare, smutne, jak w zimie; co szczelina, to gałązeczka, co szparka, to listeczek; młody tegoroczny mech zielenieje na starej srebrzystej kępcie. Dołem wąwozu, między górami i skałami, płynie sobie Prądnik z hałasem; mrczy a szumi, o kamienie bije... Nie wiadomo czy z wielkiej uciechy, że mu ciepło i jasno, czy ze złości, że się zimowy odpoczynek skończył, że lód stopniał do cna; spać już nie wolno, trzeba spieszyć, biegnąć, lecieć na dół, byle prędzej, coraz prędzej... do Wisły.

Więć rozsiała się na równinie, trochę opodał od wąwozu. Na szerokie płachty łąk wypędzili pastuszkowie po raz pierwszy krowy i cielęta. Bydło zmęczone zimnem, dusznością stajen, znudzone suchą zimową paszą, wybiegło w ten ciepły ranek na pastwisko w ciężkich niezgrabnych podskokach, tłocząc się i porykując radośnie. Miejsca krówki

²²bławaty i złociste lamy — drogie, ozdobne tkaniny; bławat: błękitny jedwab; lama: tkanina przetykana nitkami złota lub srebra. [przypis edytorski]

²³zaczem — po czym, następnie. [przypis edytorski]

miały dosyć, nie było o co się kłócić. Wszystkie lby powieszane do ziemi, mokre ozory zagarniają zwinnie soczystą trawę, pyski w ruchu, że ino chrzęst i sapanie słychać, jak łąka długa i szeroka.

Czterech pastuszków pokładło się na brzuchach, grzejąc plecy do słońca; łokciami się podpierają, i gawędzą o swych codziennych sprawach. Piąty, błady wątły chłopczyzna, w kożuszku mimo ciepłej pogody, siedzi oparty o wierzbę i patrzy w zamyśleniu na kamienne olbrzymy.

— Wiecie... — powiada Jasiak, strojąc tajemniczą minę — znalazłem wczoraj w sadzie jeża; owiązałem go łyżkiem, coby mi nie uciekł i schowałem za piec. Ciekawość, co takiemu gadowi lubuje? Ziarno, abo muchy, abo glisty?

— Tatusia zapytaj — radzi Wojtek.

— Ehe, a tatuś powie: „odnieś na to samo miejsce, skądś wziął; nie dręcz zwierza”.

— No, bo i prawda. Co ci po nim?

— Ja by go nie męczyłem, chowałem by go sobie.

— Puść go. — Jasiak ma miękkie serce, żal mu biednego stworzenia.

— Ja to nie lubię zwierząt, takich nieprzydatnych, ino te, co do roboty, abo do jedzenia — odezwał się najstarszy z chłopców, Pietrek. — Mam ci taki sprawny saczek, i znam dobre miejsca w rzece. Nie ma dnia, żebym kilka rybek nie ułowił.

— Rybek? Cóż z nimi robisz? — spytał milczący dotąd Waluś.

— Słyszycie ludzie? Nie wie, na co ryby. A do jedzenia! Matusia sprawią, ugotują, czy na obiad, czy na wieczerzę ku kluskom, i mamy wszyscy uciechę.

— Mnie się ino kamyczki podobają.

— Co takiego? Dziwo z tym Walkiem dalibóg! Kamyczki mu się podobają! Teraz ja się spytam, na co ci się zdadzą?

— A do patrzenia, do zabawy. Nie te ostre, brzydkie, co ich wszędy pełno, ale takie gładziuskie, co je rzeka wypłucze, wyszoruje. Takci się farbują przeróżnie..., to modre, to ciemnozielone, jak sosnowe igły; to znowu czerwieniate, jak malina...; cudności kamyczki! Czasem iskierka jakaś złota w nich migoce, a czasem długi złoty paseczek skroś kamienia się wije. Wtedy sobie umyślam...

— No co? — zapytał Wicus od Myrdałów.

— Ee... nic. Dworujecie se zawdy ze mnie...

— Gadaj, gadaj, nie dbaj na to.

— Umyślam se... — powoli mówił błady chłopczyzna — że jaka z dawności czasów królewna szyła sobie szatki przeróżne złotą nicią. Aż tu ją czarownica, abo jaka zła boginka zaklęła w skałę... Wszystko z nią razem zakrzepło, a te piękne kamyczki, to skrawki z onych królewskich sukienek.

— Juści, mogło tak być — marszcząc brwi, rzekł z powagą Wojtek. — Przecie leśne panny, dziwożony, południce, do dziś dnia po kniei dokazują. Ma się wiedzieć, w owe czasy, co się człowiek ani przeżegnać nie umiał, jeszcze było stokroć gorzej.

Przemądrzały Pietrek parsknął śmiechem.

— Juści... gębę rozdziawiać, zęby suszyć nie sztuka — obruszył się Jasiak — radbym widział, czy pójdziesz w dąbrowę po zachodzie słońca?

— Coby nie miał iść? — odmruknął Pietrek niewyraźnie. Walek rozruszał się, rozgadał, dalej swoje prawil:

— A patrzaliście kiedy, ale tak, z bacnością wielką, na te nasze skały Ojcowskie? Toć omal ani jednej nie ma, coby ino zwyczajnym głazem była, prawda? Na ten przykład ta długocka, wysoka, ze szczybatym wierzchem... Ślepy ino nie widzi, że to panna w koronie, klęcząca ze złożonymi rękoma. A ta znowu na prawo, gdzie dwie lipki na zboczu rosną, tobyś przysiągł, że baszta od jakowegoś grodu.

— Juści, ani wątpienia; musiało tam być ongi grodzisko — przyświadczył Jasiak. — Po obu stronach gruzy, jakieś resztki murów...

— Cóż jeszcze? Żali kusze, abo tarcze skamieniałe? Bajecie nicpotem, aże mgli słuhać — odezwał się znowu Pietrek. — Ani to baszty, ani to zwałiska, ani to panny klęczące, ino tak było w Ojcowie od świata stworzenia, i tak będzie do końca. Co wam się troi? Prawe skały i tyle.

— Któż cię uczył, żeś taki mądry, niczym proboszcz?

— Nikto mnie nie uczył, ino mam rozum ze siebie, a wyście głupi.
— A jakbym ci jedną rzecz powiedział, tobys dopiero uwierzył w zakłete miasta i skamieniałe królewny — rzekł Waluś i otrząsnął się, jakby go dreszcz przeleciał.
— Ciekawym co?
— Odkąd Maryskę Pan Jezus zabrał, matusia tak się o mnie boją...
— A cóż mnie to obchodzi, że się matusia boją o ciebie? Cóż to ma jedno do drugiego?
— Ino słuchaj, nie przerywaj, bo muszę gadać po porządku.
— Gadaj, gadaj, nie zważaj na Pietrka; on zawdy taki niezgodliwy, dokuczny — zawołał Wicek.

Więc Waluś rozpoczął po drugi raz:

— Tak się boją, że mnie ino w bożem drzewku, a w dziewięsile kąpią, maściami smarują do spania, co rano jajecznicę mi smażą, a mleka to se mogą pić, wiele chcą. Boją się, cobym nie pomarł. Tak się dobrze trafiło, że Sobek ze Strzemieszyc był na godnie święta²⁴ w Ojcowie, to się go w te pędy radzili, co ze mną robić. Ano kazał smaczno żywić, rano wczas nie budzić, ino czekać aż słońce przez górne gałęzie z lasu zagłąda. Aha... jeszcze jedno: cobym się po całych dniach na polu bawił.

— Dobra choroba, dobre leczenie. — drwił Pietrek.

— Tedy mi nic nie kazują robić, cale nic. Ani izby zamiatać, ani na polepie palić, a skoro słonko dobrze już wysoko, to mi kożuszek zawdziewają, w postoly nogi obuwam, chleba ze serem dadzą mi matusia do garści i pędzą z domu: „Idź na łąkę.” To i łąkę, gdzie oczy niosą, wszędy mnie pełno. Ani stary Mikołaj, choć pono ma sto lat beze dwóch, nie zna tak Ojcowskich skał jako ja. Gdzie jamka, gdzie nora, abo jaka większa jaskinia, wszystkim spatrzył, znam każdą. Wszędy trafię, na każdym szczycie dziesięć razy byłem; choćbyście mi oczy zawiązali, i zawiedli do najgłębszej dziury, od razu się opamiętam, i tak się pięknie wrócę do domu, jako nie przymierzając z tej łąki.

— Ehe, to dlatego tak cię trudno we wsi napotkać?

— A nie boisz się strachów?

— Do wczorajszam się nie bał...

— Gadajże, gadaj.

— Wczoraj, jako że była niedziela, poszli ojcowie na nabożeństwo do Skały; mnie nie wzięli, bo za daleko. Zmówiłem se przed krzyżem na krakowskiej drodze trzy pacierze, pocałowałem ziemię i wałę prosto ku przesmykowi, między *Basztą* a *Psem*.

— Jakim *Psem* znowu?

— A o! — I Waluś wskazał palcem na złom, najwyraźniej psią głowę przypominający.
— Idę, idę pod górę, oglądam się w tę i ową stronę, rzucam okiem w lewo... ażem przystanął... Szczelina szeroka, a ja o niej nie wiem? Czy się w nocy skała rozpękla, czy glaz jaki, co tę skałę zasłaniał, stoczył się w dolinę? Nie może to być, żebym ja taką jamę przesłępił. Trzeba zajrzeć. Włażę ci powołuśku, bo się boję, coby mnie jaka żmija nie ujadła, alibo niedźwiadek... włażę, krzesam ognia, zaświeciłem trzaseczkę i rozglądam się po wszystkich kątach. Wcałe to obszerna pieczara; i górą, i na boku przestronna, od sklepienia zwieszają się skrzepnięte sople, ano dobrze. Na środku kamień czworogranny, taki na przykład, jakby mnie do pasa; na nim drugi, płasciutki, a dosyć szeroki; nie co innego, prawiutenieczko stół. Hoho... ktoś tu mieszkał... ale kto i kiedy? Chyba dawno. Parę brył z grubsza ociosanych leży pod ścianą; siadywali na nich ludzie, tak się zda. Przy drugiej ścianie wysoka kupa jakiejś butwielizny, czy zeschniętego błota; nic się nie da rozeznać, ino dużo tego. Może to były mchy i liście, może człek jakiś sypiał na tym?... Dobrze, com se przysposobił smolnych trzasek, bo mi pierwsze łuczycwo zgąsło. Idę dalej, macam ścianę, jakieś wgłębienie, na podobieństwo półki, albo skrzynki; przyświecam... Pietrek zaraz powie, że nieprawda... Młotek z kamienia urobiony cale jak należy, wedle młotka siekiera.

— Co, kamienna?

— A jakże; i żebyś wiedział, że ostra. Dalej kościany patyczek zastrugany kolczato, a po drugiej stronie spłaszczony, i wywiercona w nim dziurka. Igła, czy co takiego? Myślę se i dziwuję się strasznie. Jeszcze ci ta było kilka wyostrzonych kostek; może groty do strzał, albo inne narzędzia. Idę dalej i upatruję pilno, zali nie najdę czego jeszcze. Masz! Znowu

Historia

²⁴godnie święta — Boże Narodzenie. [przypis edytorski]

półka, a co na niej? Grzebień z kości wyrobiony, ale mogę powiedzieć, cał niezdarne. Jakieś dziecko może ku zabawce taki zrobiło. Ja bym zdołał dziesięć razy lepiej. Krzywe toto było, chropate, do niczego. A przy grzebieniu kamyczków modrych i czerwonych garść, wszystkie podziurawione przez środek. Jakby nitką przewłókl, toby można zawiązać dziewczusze na szyi, niby paciorki. Ani wątpienia dziecko się tam bawiło²⁵. Jeszcze w jednym kącie nie byłem, idę ostrożnie, bo luczyno nikło się świeci, aż tu nagle jak nie gruchnie, jak nie huknie... ze wszystkich gór echo poleciało.

— Aha, aha, w południe to było? Słyszałem i ja — rzekł Jasiek — ino myślałem, że grzmi.

— Przeląknęłem się tak — ciągnął Walek dalej — aż mi serce stanęło; ścierpłem tak, jakby mnie lodem obłożył. Nie mogłem się ruszyć, bałem się oddychnąć. Czekam, czekam... zali gdzie spod ziemi jaki olbrzym nie wylezie, albo z góry smok nie wyskoczy, nic... cicho. Za jakiś czas, może długi, może krótki, ośmieliłem się kapkę, ruszam głową, nasłuchuję, patrzę, nic strasznego nie ma. Tedy myślę sobie: „Uciekaj, pókiś cały, bo jak lupnie drugi raz, to nie będzie żartów”. Chcę wyjść na świat, a tu otwór przeokrutne kamienie zawaliły.

— Aha! To z tego tak łomot był?

— Juści z tego. Spokojnie ci się gada, ale jak mnie było, miarkuj sobie. Macam, szukam, zrazu ani tej szczeliny znaleźć nie mogę... Aż mi włosy dębem stanęły. Wreszcie jej się domacał, a co mi z tego? Szturcham, wypycham, pięściami walę one kamieniska, rety... żaden ani drgnie. Co to będzie, jeżeli nie najdę ratunku! Tak mi się widziało, że cały tydzień w tej ciemności trwał, a może nie było ani godziny. O Jezus... Jezus... jak mi też to straszno było! I tu próbuję, i tego się chytam, — wreszcie wylazłem po tych ustyrmanych głazach aż do samej góry. Szczęście, że u wierzchu mniejsze ino kamyki otwór zasłaniały; pchnąłem jeden, drugi, dziesiąty, wyścibiłem głowę na Boży świat, wysunąłem jedną rękę, macam, czepiam się, gramolę się, no i wylazłem. Ale mię cośi w plecy buchło, jakby żelazną pięścią, spadłem z tego wierzchu na ziemię. Anioł Stróż ręce podstawił, bom się mało co potłukł. Oho ho, żeby mi ta nowy pasik guziczkami nabijany kto obiecał, już tam drugi raz nie zajrzę. Co zakłęte, to zakłęte; zwyczajnym ludziom nic do tego. Już mnie ta na wieki amen nauczyło.

— Oj Waluś, Waluś, wiesz ty, coć rzekę?

— A wiem. Dogryzał mi będzie po swojemu.

— Słuchaj, wszystko ci składnie wytłomaczę. Chodziłeś po słońcu w kozuchu, a przygrzewa setnie. Od krakowskiego krzyża do tych twoich *baszt* kawał niemały. Mocniejszy by miał dosyć, a nie dopiero taki chruściel jak ty. Wlałeś do jamy, zasnąłeś, i wszystkie te dziury śniły ci się pewnikiem. Dopiero gruchot kamieni cię zbudził.

— Matko Boska święta... a cóż się to dzieje! — zawołał Walek niemal z płaczem — wiecznie mi się ino ma śnić wszystko? Wczoraj tatuś i matusia swarzyli, że mi się Bóg wie co zwiduje, dziś Pietrek wpiera we mnie jakieś sny; już nikomu nic nie opowiem, choćby same gwiazdy z nieba do mnie gadały. Bywajcie zdrowi; pójdę sobie między skały, tam moje królowanie.

Pietrek z Wickiem zostali przy krowach, Wojtek i Jasiek pobiegli za Walkiem.

— Widzisz, jakiś ty — rzekł Jasiek, przytrzymując go za rękę — myśmy ci marne-go słowa nie rzekli; opowiadałeś pięknie, tośmy cię słuchali i przed Pietrkiem bronili; czegożeś zły na nas?

— A o cóż to matusi poszło? — spytał Wojtek rozciekawiony.

— Poszło, to poszło. Nic nie powiem.

— Widzisz, a ja ci chciałem przedziwny kamień podarować. Mam go w chałupie.

— Kamień? — Waluś przystanął, spojrzął na Wojtka i przygryzł wargi.

— A juści, pewnoś takiego jak życie nie widział.

²⁵ *Grzebień z kości wyrobiony (...)* Ani wątpienia dziecko się tam bawiło — dawno, dawno, tysiące lat temu, w czasach, które się nazywają *przedhistoryczne*, ludzie nie umieli budować sobie mieszkań, nie mieli narzędzi do pracy tak doskonałych, jak my posiadamy; nie umieli dobywać z ziemi rudy żelaznej ani wytapiać z niej tego najpożyteczniejszego metalu. Naczynia i sprzęty, które sobie nieudolnie sporządzali, były tylko z krzemienia lub z kości. Odziewali się w skóry zwierząt, które upolowali z narażeniem własnego życia. Mieszkali w pieczarach i jaskiniach. Jeszcze nieraz o ten nędzny przytułek musieli walczyć z niedźwiedziami. Czasy te odległe, *przedhistoryczne*, o których dowiadujemy się z wykopalisk, nazywają się *epoką kamienną*. [przypis autorski]

— No?

— Biały, niczym śnieg, i tak sam właśnie migotliwy, kieby śnieg, co świeżo spadnie, a mróz go zetnie. Cały jakby urobiony w jakiesi słupki czubate a złotych kapek na nim, jakby kto kropidłem bryznął.

— Złotych kapek?... kropidłem?... Prawdę gadasz?

— Tak prawdę, jak tu przed tobą stoję. No, mójś ty²⁶, opowiedz!

— A nikomu nie powtórzycie?

— Niech Pan Bóg broni! Ani człowiekowi, ani zwierzowi, ani niebu, ani ziemi, ani wodzie, ani ogniewi! — zawołali jednym głosem Wojtek i Jasek, podnosząc ręce w górę.

— Bo to widzicie nic wielkiego; ino matusia kazali milczeć, bo się ludzie ze mnie wyśmieją, jak się dowiedzą, a ja tego strasznie znieść nie mogę.

— Kiedyśmy się tak ciężko zaklinali, to się już nie bój, gadaj śmieie.

— Wiecie, ja sam już nie mogę się połapać; może naprawdę śniło mi się to wszystko, albo zwidywało...

— No co? Powiadajże!

— Przedwczorajszej nocy, kazali mi matusia wcześniej iść spać za piec, bo to właśnie przy sobocie statki mieli szorować i sieczki prosiakom narznać na niedzielę, czyste wdzianie sobie, tatusiowi i mnie przystroić, jednym słowem chcieli mieć spokojną głowę. Zarozieńki²⁷ usnąłem twardo, bom się strasznie nabiegał przez cały dzień po górach. Śpię, śpię, aż tu mi się zda, że drzwi do sieni skrzyły. Cóż tam takiego? — myślę sobie — jeszcze się nie pokładli? Wszakże to musi być po północy od świętej pamięci; naspiałem się, aż hej. Słyszę, ktoś chodzi po izbie, ktoś cicho gada... otwarłem oczy, jeszcze bardziej się dziwuję. Kaganek zaświecony, na ławie za stołem człek siedzi...; pierwszy raz w życiu go widzę; włosy ma czarne, ponad brwiami przystrzyżone, wąsy tęgie. Matusia białe rączniki zaścielają, dzbanek z mlekiem przed onym postawili, garnuszek polewany, chleb, nóż, a sami pokornie na stronie przy piecu stanęli. Ukroił sobie dużą skibkę, pił mleko, a chlebem pogryzał, widno był głodny okrutnie, bo kilka razy dolewał ze dzbanka. Na to wszystko tatuś wchodzi z pola. Pochylili się ku onemu i coś mu rzekli niegłośno. Inom jedno słowo dosłyszał: „bezpieczno” więcej nic. Kiedy się już ówten człowiek pożywił, wstał z ławy i zaczął coś gadać z tatusiem po cichu, a jam sobie oburącz gębę zatkał, aby nie wrzasnąć.

— Bo co? — spytali zaciekawieni chłopcy.

— Bo z twarzy dobrze starszy był od tatusia, a na wysokość... niczem ty, alibo ja. No, nie chcę zmyślać, może krzyne wyższy. Tatuś bez pół się zginali, jak gadali do onego. Odziany był ten człek w kozuch dostatni i barankową czapę. Jak se dziś rozważam, to przecie musiał być sen; bo powiedzcież sami: człeczyna niepozorny, w kozuchu, ot, może nawet nie wolny kmieć, ino jaki łazęga, a gdy się żegnał i miał odchodzić, oboje rodziciele do nóg mu padli, a po kolanach całowali. Matusi to tak łzy ciekły z oczu, jak woda. Nie, nie, to nie mogło być co inszego, tylko sen.

— A potem co?

— Potem coś rzeknął na odchodnym, tatuś wybiegli za nim, i znowu takie słowa mię doleciały: „wszyscy, cała wieś murem osłoni”. Matusia zagasili kaganek, pokładli kiecki na ławie i poszli spać. A mnie czegoś straszno się zrobiło; nakryłem się z głową, zatuliłem oczy pięściami i sam nie wiem kiedy usnąłem. Nie słyszałem, żeby tatuś wracali. Rano, inom się umył i przyodział, wołają do śniadania. Piję mleko, poglądam na rodziciele, tak spokojno rozmawiają, jakby się nic dziwnego nie stało. Nie mogłem zmilczeć i pytam: „Tatusiu, a czego chciał od was ten mały człeczek?” Matusia podskoczyli na ławie i znów usiedli, a tatuś popatrzyli na mnie bystro i powiadają: „He? Jaki człeczek?” „A ten, co tu był w nocy, wieczerał i gadał z wami”. Nic mi tatuś nie odpowiedzieli, ino mi pomacali czoło ręką. „Matka, zobacz no, chłopak ma głowę rozpaloną, widzi mi się. Gada trzy po trzy, trudno go wyrozumieć”. A ja swoje: „Nie trzy po trzy tatusiu, ino ktoś tu był w nocy w izbie. Kozuch miał długi, siwą czapę, co wam gadał będę, kiedy dobrze wiecie, że prawda”. „Ano darmo” — rzeką tatuś zasmuconym głosem — „słabe dziecko i tyła.” Tedy mnie wzięli oglądać oboje, wymacali mi czoło, szyję, plecy, w porządku, kiwali głową, że

²⁶mójś ty (gw.) — mój kochany, mój drogi. [przypis edytorski]

²⁷zarozieńki (gw.) — zaraz prędko, bardzo szybko, natychmiast. [przypis edytorski]

to pewno zimnica będzie; na koniec matusia mówią: „Ha, mieliśmy cię wziąć do kościoła, musisz zostać w domu. Anibyś pół drogi nie zaszedł, kiedyś chory”. „Zdrowem jak ta rybka, matusiu” — wrzeszczę — „zajdę trzy razy do Skały i trzy razy się wrócę!” „Nie, takie zwidywanie, takie mamidla nocne, to znak na ciężką chorobę. Siedź w domu, dziecko, a zmów pacierz, coby ci Pan Jezus przywrócił zdrowie.” „Ależ matusiu!” „Aha, jeszcze jedno; o tym jakimś małym czelczku, o tym mleku we dzbanku, o tym, żeś nas gadających w nocy widział, ani piśnij nikomu, pamiętaj! Niech no by się Kłóskowa dowiedziała, to obniesie po całym Ojcowie, że za jakieś tam ciężkie grzechy Pan Jezus nas pokarał i dziecku rozum odebrał. Milcz, jeśli nie chcesz naszego wstydu”. Poszli na nabożeństwo, a ja ku moim skałom. W onej norze znowu te majaki, te kamienne siekiery, kościane igły, Bóg wie co. Pietrek szydzi, że mi się to śniło. Słuchajcie chłopcy... może ja naprawdę pomyłony? — I rozplakał się rzewnie.

Chłopcy spojrzeli nań z zakłopotaniem.

— Może ono tak, może ono nie; czekaj jutra — rzekł przezorny Jasiek. — Gdybyś miał w sobie chorobę jaką tajemną i zmysły popsute, to niebawem lada chwila znów ci się co ubzdura, jakaś cudaczna przygoda. Jak się to dziś albo jutro nie stanie, to znaczy, żeś zdrow. Pójdziemy już, pora nam do bydła.

Odeszli szepcząc między sobą i ruszając ramionami.

Waluś otarł oczy i na pociechę pobiegł między skały. Wdrapał się na szczyt onej *Psiej Głowy*, usiadł sobie właśnie na samym łbie i zatrzymał wzrok aż tam daleko, gdzie niebo ku ziemi się zniża.

— Dzień dobry, parobeczku! — powitał go ktoś znieacka. Szczęście że *Psia Głowa* wielka była, jak niejedna chałupa, to i spaść z niej nie tak łatwo. Walek obejrzał się niechętnie: że też mu tutaj nawet spokoju nie dadzą. Obcy człowiek nie po wiejsku odziany, o twarzy śniadej, stał tuż przy nim.

— Dzień dobry! — powtórzył grzecznie. — Nie boisz się łązić po takich sztyrmach? Dojrzałem cię z daleka i spieszno przychodzę sprowadzić cię z tej skały.

— Idźcie z Bogiem, panie — odpowiedział Walek, śmiejąc się. — Nijakich gór, nijakich skał się nie boję. Skały mnie znają i ja je znam wszystkie, co do jednego zakamarka.

— Taaak? — zadziwił się nieznajomy i badawczo, bystro przyjrzał się dziecku. Ileż ci to lat pacholiku, żeś taki wyznany i doświadczony?

— Dużo; dwanaście.

— Ani dziesięciu bym ci nie dał. Dobrze to, że się umiesz drapać po skałach; ale nie ino strome urwiska są czelku groźne. Ja słyszałem, że w tych wąwozach zbójce siedzą. — Mówiąc to, nieznajomy rozejrzał się, czy nikogo nie ma w pobliżu.

Walek popatrzał nań spod oka.

— O Matko święta... znowu mi się coś przywiduje!... — przemknęło mu przez głowę. — Niesamowity jakiś człowiek... wyskoczył jak spod ziemi, i mowę ma dziwną, niby po naszymu gada, a przecie inaczej. Przepowiadał mi Jasiek przygodę... jest przygoda!

Podsunał się ku podróżnemu i nieznacznie pomacał jego odzienie. — Żywy... prawdziwy... stoi przede mną...

— Mówiono mi w okolicy — prawil dalej nieznajomy — że w Ojcowie na pewne... zbójcy się kryją.

— To chyba od dzisiejszego ranka! — przerwał mu Walek, śmiejąc się drwiąco. — Wczoraj ich jeszcze nie było; a czego by tu szukali? Dy we wsi sami biedni ludzie mieszkają. Co ta ostało po Tatarach, to czeskiego starosty sługi zabierają. Toć krwawymi łzami ludzie płaczą na one czeskie łupiestwa.

W oczach nieznajomego błysnęła jakaś złowroga iskra; ale natychmiast się uśmiechnął i rzekł:

— Takiś mały, a gadasz jak stary. Skądże wiesz to wszystko? Tatuś tak powiedział? Hm hm... — odchrząknął nieznajomy. — A jak ci na imię parobeczku?

— Walek.

— A na przezwisko?

— Niby po tatusiu?

— Tak jest; jak was we wsi zowią?

— Dąbki się nazywamy. Czterech braci tatusiowych gospodarzami jest w Ojcowie.

— Aha. Więc ciężkie panowanie czeskiego króla powiadasz?

— A juści. Mieliliśmy cztery krowy i owiec dziesięć, gęsi, kur, niemało. Wszystkośmy za Pana Jezusową łaską przed Tatarami ukryli. Z całej wsi dobytek schowali gospodarze po jaskiniach. Ale przed czeskimi wilkami to ani pod ziemią się nie skryjesz. Toli w przeszłym tygodniu zabrali każdemu gospodarzowi po jednej krowie. Na jakieś tam podatki. Ino temu nie wzięli, kto nie miał. To ci dopiero prawe zbóje! Może wy o tych łotrach gadacie, panie?

— Mądrze mówisz, parobeczku, jakbyś z księgi czytał. Nie na wasze domy, ani na wasze krowy łakomią się zbójcy, ino na przejezdnych kupców bogatych, na polskie i czeskie pany, co tędy krakowskim gościńcem gęsto jeżdżą. Spomiędzy skał wypadają opryszkowie i odzierają ich z mienia, zabierają tłomoki, skrzynie, jeszcze Bogu trzeba dziękować, jeśli z życiem puszcza. Mnie tu właśnie sąd ławniczy przysłał na ukrócenie tych rabunków. Taki zwinny, roztropny chłopak jak ty, mógłby mieć piękny zarobek, gdyby choć jednego wypatrzył... i mnie o tym powiadomił. Jakbyś mi na ten przykład o czym takim doniósł, dałbym ci duży biały pieniądz.

— A mnie co po białym pieniądzu?

— Rodzicielowi oddasz. Przy gospodarstwie zawsze czegoś brak, dobrze mieć grosz na potrzeby.

— Ot, gadacie panie, jak ten wiatr wieje. Ktoś wam bajek napłótl gwoli postrachu, a wy wierzycie.

— Nie bajki, nie; ja nawet wiem, jak herszt onych złoczyńców wygląda. Srogi to zbrodzień; ani dziecku, ani niewieście nie pofolguje, nóż jego ze krwi nie obsycha.

— O rety... skoro go znacie, łączno wam go pojmać?

— Trzy dni temu na własne oczy go widziałem i umknął mi... właśnie w te strony. Przysięgłbym, że tutaj gdzieś blisko się kryje. Gdybyś go wytropił, wszak powiadasz, że ci każda jama znana? Gdybyś go wytropił, a dał znać na gród do Skały, tobyś za to dostał nie srebrny pieniądz, ale śliczny, złociuski.

— Nie dla nagrody panie, ino gwoli ustrzeżenia ludzisków od takowego mordercy, przyrzekam wam, że go szukać będę; i jeśli tylko siedzi gdzie w tych skałach, najdę go, ani chybi.

— Ino musisz tajemnie się sprawić; nikomu nie wspominaj ani o mnie, ani o tym, com ci wyjawiał. Źli ludzie wszędy się trafiają; może on we wsi ma współników... niechby się który dowiedział, że go szukają, zaraz by go powiadomił.

— I to może być. Aha, obiecuję, a sam nie wiem co. Po czymże poznam tego człowieka?

— Bardzo łączno; nie co dzień się takiego widuje: twarz ma jak na zbrodniarza całe przyjemną; włosy krucze, równo z brwiami przystrzyżone, wąsy bujne, szczupły a mały wzrostem, niczym dziecko.

— Jezus Maryja! — wrzasnął Walek nieludzkim głosem.

— Co! Może go znasz? Możesz go już widział? — chwytając chłopca za obie ręce, skwapliwie pytał podróżny.

Dziecko blade było jak chusta i drżało na całym ciełe.

— Gadaj! Znasz tego człowieka? — ostro krzyknął obcy.

— Nnnie... ni... nigdym go nie wi... widział...

— Ino co? Nie kłam! Ty coś wiesz o nim!

— O rety... nie wiem nic... ino... ino się boję... boję się, coby mnie nie zarzną!

— Głupiś. Choćbyś nawet z nimi rozmawiał, ani mu do głowy nie przyjdzie, żeś mu wróg. Właśnie do takiej roboty dziecku najskładniej. Szukaj śmieje, upatruj, a złoty grosik twój. Pytaj na grodzie o rycerza Wrzecisława ze Żlebu. A cobyś wiedział, że moje słowo święte, masz tu srebrniaka na zadatek. Dotrzymasz obietnicy, nie pożałujesz.

Nieznajomy zawrócił się i schodził na dół stromą ścieżką powoli, ostrożnie, patrząc pod nogi. Szkoda, że się nie mógł obejrzeć, byłby zobaczył coś bardzo dziwnego: Walus rozkrzyżował ręce, padł twarzą do ziemi i wybuchnął tak gwałtownym płaczem, aż nim coś rzuciło i szarpało. Płakał, płakał, wreszcie zesłabł, ucichł i leżał, jakby omdlały.

Minęła godzina, chłopiec dźwignął się leniwie, spojrzął przed się, jak ktoś, co ze snu zbudzony — nie rozumie na razie, gdzie się znajduje. Przetarł zapuchnięte oczy i usiadł na powrót na skale.

— Skłamlali matusia... O rany Boskie krwawiące... skłamlali tatuś! Ze zbójami tatuś trzymają! — Nie, nie... obłąkaniec ja... głupi...; ady oboje powiedzieli, żem słaby. To choroba takie breweryje wyprawia we mnie. Ten człowiek, co tu był, i każde jego słowo, to ino takie zwidy.... pokusa... nagabywanie dyjabelskie. Gadali przecie matusia, że zimnica zawdy się tak poczyna. Spałem ciężko... a jakże... spałem; nie ma się czego trapić. Lepiej do domu pójdę. Oj będą też swarzyć..... pewno już obiadowali beze mnie.

Wstał, podniósł z ziemi czapkę, coś z niej wypadło i potoczyło się po kamieniach.

Waluś chwycił się z krzykiem za głowę.

— Jezus przenajświętszy!... Nie obłąkanym ja... nie śniło mi się... Białą pieniądz!... O rety... nie mogę szukać zbója!

ROZDZIAŁ TRZECI. BIEDNY WALUŚ

Upłynął tydzień. Waluś zazwyczaj błady i słabowity, zmizerniał przez te kilka dni jeszcze bardziej; litość brała patrzeć na dziecko. Ani go przyniewolić do jadła, ani go czym uweselić; pił tylko mleko czasem i wody raz po raz, jakby go coś wewnątrz ogniem paliło. I do swoich skał ukochanych ani razu nie poszedł. Leżał w sadzie na trawie całymi godzinami; ojca unikał, a gdy musiał mówić do niego, to spuszczał głowę i patrzył w ziemię, jak winowajca.

Dąbek martwił się tą chorobą syna, ale zapracowany od świtu do nocy, nie miał czasu myśleć o niej. Matka za to widziała, co się dzieje i pełne zgryzoty miała serce. To serce matczyne zrozumiało od razu, że nie zimnica dziecko zabija, ale jakaś ciężka męka duszy, którą ono podźwignąć za słabe. Rozpytywała go, pieściła, tuliła, nie odpowiadał nic. Czasem patrzył tylko na nią żałosnym wzrokiem, jak biedne zranione zwierzątko, i uciekał do sadu.

Wiść o kanonizacji św. Stanisława rozeszła się już była po całym kraju: do grobu tego nowego patrona ślubowała sobie Dąbkowa pielgrzymkę, jeśli jej synka jedyne uratuje od śmierci.

Pewnego dnia Waluś wyjątkowo nie był w sadzie, stał za chałupą przy płocie i strugał żerdki do grochu; matka umyślnie wyszukała dlań robotę, żeby go wyrwać z ponurego odrętwienia, w jakim trwał ciągle. Strugał powoli, od czasu do czasu podnosił oczy i słał złąknione spojrzenia ku „Kłęzącej królownie”, skamieniałej w modlitwie, co taka bieluska widniała z daleka na tle szafirowego nieba.

— Ino bacz pilno, by cię kto nie ślakował²⁸... — usłyszał przyciszony głos matki. Podsunął się ostrożnie i spojrzał ku wrotom. Ojciec wychodził z domu; trzymał w prawej ręce sporą wiązkę suszonych ziół, a te zioła... osłaniały gliniane dwojaki związane w szmatę, z których unosiła się biaława para.

— Jezu miłosierny... strawę onemu²⁹ niosą!... — pomyślał Waluś. Upuścił nożyk i tyczkę na ziemię, rozchylił chruściany płot i wymknął się z zagrody.

— Muszę wiedzieć.... muszę na własne oczy widzieć, do kogo tatuś idą. Może... ach tak, pewno pod las, do Bartoski. Zawdy się nad staruchą litują. Matusia uwarzyli co do smaku, a tatuś jak raz w tamtej stronie orzą. Co tu rozważać po próżnicy... do Bartoski idą. A skrycie dlatego... coby... juści dlatego, coby się nie chlubić przed ludźmi. Będę patrzył z dala, aby się ino przekonać.

Niestety, nie do lepianki starej kумы zwrócił się Dąbek z dwojakami; szedł prosto ku rzece. Skracał sobie drogę miedzami, a rozglądał się na wsze strony, prawdziwie jak ktoś, co ma bardzo nieczyste sumienie.

Walusia ani widać nie było; przemykał się równoległą ścieżką pod wierzbami. Ojciec przebrodził rzekę i skierował się między skały, syn przebiegł po kamyczkach na drugi brzeg, i gdzieś się nagle podział.

Przysiadł skurczony za kupą głazów i upatrywał z bijącym sercem. Zapomniał na chwilę, kogo śledzi i o co posądza, czał się, czekał, jak myśliwy na zwierzynę.

— Aha... prosto do *Komnaty* idą. Może zdolę uwidzieć onego przeklętnika.

²⁸ślakować (gw.) — śledzić. [przypis edytorski]

²⁹on, onemu (daw.) — ten, temu; tu: tamtemu, tj. ukrywającemu się człowiekowi. [przypis edytorski]

Zezu! postoly³⁰, schował je pod krzakiem i bez szmeru, bez szelestu, skradał się bosymi nóżkami do rozpadliny wąskiej a długiej, gęsto malinami zarosłej. Pod osłoną splątanych pędów szedł zgięty we dwoje, czasem pełzał na czworaku, a ostre kolce drapały go po szyi, po rękach, po nogach.

Ojciec wsunął się w szczelinę skalną, syn wśliznął się za nim. Łatwo przyszło Wal-kowi skryć się, gdyż korytarz, w którym się obaj znajdowali, ciemny był zupełnie, a tak bardzo ciasny, że dorosły człowiek ostrożnie musiał stąpać i uważać, by nie uderzyć głową o sterczące z obu stron głązy. Nie mógł się Dąbek odwracać, toteż Walus prawie tuż za nim stąpał. Uszli z pięćdziesiąt kroków, korytarz rozgałęził się na dwie strony. Dąbek poszedł na lewo.

— Znają tatuś dobrze drogę — pomyślał chłopiec i skręcił także w lewo.

Teraz już zwolnił kroku, bo ścieżka stawała się coraz szersza i widniejsza; weszli do obszernej grotty, mrocznej wprawdzie, ale przez szczelinę z boku nieco rozjaśnionej. Od sklepienia zwisały się stalaktyty, czyli skamieniałe sople wapienne. Jaskinia była pusta. Dąbek szedł dalej.

— O Matko... — szepnęło dziecko — nie ma tu nikogo... więc gdzie?

Poszli przez drugi jakiś krużganek, o wiele krótszy od pierwszego; ojciec bez wahania spieszył do wielkiego otworu w skale, przez który widać było przeciwległe urwisko i kawałek błękitnego nieba.

— Toć przepaść niezmierna... skała gładka jak ściana; może tatuś nie wiedzą, wychylą się i spadną... Jezus! zatrzymam ich!

Nie dbając już, czy go ojciec dostrzeże, biegł za nim ku owemu oknu w skale. Nagle stanął jak wryty. Dąbek sięgnął ręką poza otwór, przyciągnął ku sobie grubą linę poczwórnie skręconą, a gdzieś na szczycie góry do starego drzewa jakiego zapewne silnie przymocowaną; były na niej co parę stóp węzły, jakoby szczeble u drabiny. Objął ją rękoma i nogami, szmatę z dwojakami chwycił w zęby i śmiało zaczął się spuszczać na dół.

Teraz dopiero wróciła przytomność Walusiowi; cała szkaradna prawda stanęła mu wyraźnie przed oczyma: ojciec — przyjacielem rozbójnika, opiekunem i żywicielem zbrodniarza!... Ten tatuś kochany, dobry, co nigdy nie bił matusi, jak inni gospodarze swoje kobiety biją; nigdy się z nią nawet nie kłócił; ani też jemu, Walusiowi złego słowa nie powiedział, co z taką świętą ochotą pracował w pocie czoła, byle tylko zdobyć dla nich dolę spokojną... Ten tatuś z duszy, serca umiłowany, pokornym sługą mordercy!

Zawrócił ku wyjściu, i biegł potykając się, uderzając sobą o skaliste ściany ciemnego krużganka, byle uciec czym prędzej, jak najdalej od straszego miejsca.

Wyszedł na świeże powietrze, wyprostował się i odetchnął głęboko. Coś się w nim odmieniło w ciągu tej jednej godziny. Jakaś zawziętość twarda rozsiadła mu się w sercu, ani mu się już na płacz nie zbierało. Postanowił zrzucić z siebie to ciężkie brzemie, pod którym upadał. Postanowił stanąć oko w oko z ojcem i powiedzieć mu wszystko. Albo go zdoła powstrzymać od tej zbrodniczej przyjaźni, albo nie uda mu się, wtedy cichaczem w nocy ucieknie na kraj świata.

Ledwie zeszedł ze wzgórze nad rzekę, nowe czekało go przerażenie: rycerz Wrzecisław ze Żlebu stał oparty o drzewo i patrzył w tę stronę, jakby właśnie na niego wyczekiwał. Umknąć przed tych oczu było niepodobieństwem.

— Parobeczku, a gdzież to bywasz? Codziennie cię na darmo upatruję po różnych zakątkach — rzekł i poklepał chłopca po ramieniu.

— Trza go stąd zabrać co do ducha — pomyślał Walus — gotów tatusia zobaczyć w powrotnej drodze i paść na jakie domysły.

Taki się czuł duży, mocny, spokojny, że ani się zmieszał, ani oczu nie spuścił, całkiem swobodnie odpowiedział:

— Słabowałem, panie, przez tydzień; zimno mnie trzęsło. Dziś pierwszy raz polazłem w góry, naszej zguby szukać. Spatrzyłem wszystkie jamy, ani śladu żywego człowieka. Za to wyraźnie znaki widziałem, jako tędy niedaleczko niedźwiedzie przechodziły. Pewnikiem w której dziurze mieszkają. Umykajmy oba. Ja siły nijakiej nie mam, a wy bez oszczepu, jakóż pójdziecie na zwierza z gołymi rękoma? Lepiej zejźdźmy im z drogi.

³⁰zeczuc postoly — zdjęć buty. [przypis edytorski]

— Dziwno, żeś się uchowal! — rozśmiał się rycerz. — Małe lata, a duży rozum. Słuchaj no, co ja to chciałem rzec... u was we wsi nic nowego? Ludziska nie gadają ze sobą w skrytości? Nie schodzą się gospodarze na narady po chałupach? Obcych, po pańsku odzianych nie widzisz?

— Pomaluśku panie, pomaluśku, bo nie spamiętam. Przyleciały wczoraj do matusi cztery gospodynie i w okrutnej *skrytości* radziły się co robić z Kioskową, bo mleko krowom odjęła. A stryjkowie zesłi się któregoś dnia u nas, jako i Bartek Naroczny i prosili tatusia o ziarno na siew.

— Matoł z ciebie; a ja mniemałem, żeś mądry.

— Mądrym, panie, bo się nic przede mną nie skryje. Obcy ludzie są w Ojcowie, a jakże.

— Gadaj, kto i gdzie?

— Ino nie z pańska odziani, a w połatanych łachach. Mieszkają kawalek za wsią, w szatrach: Cyganie są, co kowalstwem się trudnią.

— Bywaj zdrów. Żebyś mi jutro patrzył po tamtych skałach; pamiętaj.

— Nie lękajcie się, panie. Jeśli ja onego nie wytropię, to nikt.

Popatrzał jeszcze za odchodzącym, a gdy ujrzał, że zawraca na gościniec ku Skale, pobiegł i on pędem do chałupy.

Drzwi były otwarte, stanął w progu. Matka klęczała przed krzyżykiem zawieszonym na ścianie i modliła się głośno; kończyła właśnie gdy wchodził.

—..... dobry koniec tej niedoli, o Chryste Jezu, zdrowie, długi żywot i szczęsne panowanie. A mnie grzeszną pociesz, Boże miłosierny, nie zabieraj mi Walusia. Amen.

Obejrzała się i powstała z klęczek.

— Szukałam cię w sadzie, synku; gdzieżeś chodził?

— Do skał. Ojciec nie wrócili jeszcze? — spytał nawzajem.

— Cóż tak dorosło gadasz? Tatuś orzą pod lasem, pewnikiem nie przyjdą, aż na wierzę.

Ugięły się nogi pod chłopcem, opadł na ławę. Chciał zmilczeć, doczekać się ojca, lecz żał tak długo tłumiony buchnął mu z ust potokiem słów.

— O matusiu, matusiu, porzućcie to niegodziwe kłamanie! Proście Pana Jezusa, coby mnie uzdrowił, jakoż was ma wysłuchać, gdy w śmiertelnym grzechu brodzicie po szyję!

— Dziecko jedyne... co tobie? Ani się gniewam za zuchwałość, boś słaby.

Zerwał się i pobiegł ku niej.

— Nie, nie, ja nie z choroby gadam, ino prawdę, świętą prawdę! Matusiu, usłuchajcie mnie! Zespółcie się ze mną, padnijmy oboje razem do nóg tatusiowi i nie wstańmy potąd, póki go nie uprosimy.

— Syneczku najmilejszy, a o cóż go będziemy prosić? Nie rozumiem twojej mowy.

— Nie rozumiecie? Toć ów człek, co tu był kiedyś w nocy, mieszka w jaskini u przepaści i tatuś do niego chodzą. Nie zapierajcie się, na własne oczy widziałem. I wy możecie ścierpieć, aby to dłużej trwało?

— A cóż tobie wadzi, że ojciec z narażeniem własnego żywota oddał się w służbę... onego człeka?

— Krwawa służba...

— To nie wiadomo; może wojny nie będzie.

— O czym wy gadacie, matusiu? Rabunek, mordowanie kupców i podróżnych to... cześć? u was wojna? Służba u zbójckiego herszta to... cześć?

— Waluś... na rany Boga, co bredzisz? Kto cię bajkami omamił?

— To nie bajki, to obmierza prawda!

— Kto ci gadał?

— Taki, co wie najlepiej, co zbójów ścigać będzie i sądził.

— Jak się zwie?

— Nie powiem.

W progu stanął gospodarz. Patrzył, słuchał, nic nie rozumiał.

— Matka... A tu co się dzieje?

Ale Dąbkowa miasto³¹ odpowiedzi porwała Walka za ramiona i rzuciła go silnie pod stopy ojca.

— Bij głową o ziemię! Całuj nogi tatusiowe! Błagaj, niech ci odpuści!

— Dajże dziecku spokój... cóż takiego nabroił?

— Język mi kołem staje... wypowiedzieć trudno... Gada ano, żeś do zbójców na służbę przystał, a najstarszemu z nich jadło nosisz.

Dąbek zbladł. Zostawić synka w tym okropnym błędzie, czy wyjawić tajemnicę?...

Głos mu się rwał, gdy schylony nad Walusiem mówił cicho:

— Synaczku... ów człek, dla którego co dzień nad przepaścią zawisam, dla którego dam się ochotnie na sztuki porąbać, za którym na palca jego skinienie wszystek Ojców w ogień polecą... to nasz pan umiłowany, zbawca swego ludu, Władysław Łokietek... polski król!

Długo trzęźwili Walusia oboje rodzice; zlewali mu głowę zimną wodą, nacierali czoło, potrząsali, zanim dobudzili się w nim życia. Chłopiec wyczerpany tyłodniowym udręczeniem, osłabiony i zmizerowany wstrętem do jadła, omdlał ciężko; matce się zdało, że już umarł. Wreszcie otworzył oczy; nie pamiętał, co zaszło, nie wiedział o niczym, patrzył senno, nieprzytomnie. Dąbek położył palec na ustach, bojąc się, by żona jakimś słowem, jakimś radosnym krzykiem nie zaszkodziła dziecku.

Leżał wznak na łóżku i patrzył; powoli martwość schodziła z jego twarzy, oczy utkwione w przeciwległą ścianę bezmyślnie, poruszyły się... zobaczył ojca. Wzdrygnął się i przytknął powieki, a dwie szkliste krople spłynęły mu po licach.

— Tatusiu... król?

— Juści, synku. Miłościwy król Władysław.

Waluś obrócił się na boczek, poszukał tatusiowej ręki, pocałował ją i przytrzymał.

— Wybaczyliście?

— Ani chcę nawet myśleć o tym! — odpowiedział ojciec. — Cóżes ty, biedne dziecko, winne, że cię źli ludzie omamili.

— Ten, co mi rozum pomieszał, aż was śmiałem pomawiać o bezecne uczynki, zwie się rycerz Wrzecisław ze Żlebu.

— Aha. Któż by nastawał na wolność i żywot naszego pana, jak nie czeskie psu-braty. Dobrze co o nim wiemy. Widzisz synku, żeś i ty usłużył uczciwej sprawie, choć poniewolnie.

— Powiedzcie mi jedną rzecz: jeśli królem jest, czemu się tak nędznie odziewa i kryje po jamach?

— Do czasu musi tak czynić. Wprawdzie wola całego narodu polskiego na tron go wzywa, jednakowo przemoc czeska cięży nad nami. Poobsadzał król Wacław grody i miasta swymi załogami, wszelkie urzędy Czesi sprawują; zaś trzy tatarskie napady wśród pięćdziesiąt lat³² zniszczyły do cna nieszczęsną krainę. Nie ma ludzi do roboty, nie ma siły wygnać precz narzuconego króla.

— Jakimże prawem i kto go narzucił?

— Prawem mocniejszego i przez knowania odwiecznych naszych wrogów. Zapamiętaj se, Waluś, i do śmierci wiedz o tym, że co ino złego Polskę spotkało, każda niedola, każda klęska, wszystko, co ino najgorsze, zawdy od jednej strony idzie. Daj Panie Boże wszechmogący, abym się mylił, ale czuje to serce moje, że po wieki wieków tak będzie.

— Ej... Paweł — wpadła mu w mowę żona — cóżes taki nauczny i przemądrzały? Ani już będę śmiała gadać do ciebie.

— Juści mi pojaśniało w głowie z łaski najmiłościwszego Pana. Odkąd go cichcem z krakowskiej drogi ścieżkami do naszej wsi przeprowadziłem, zawierzył mi posługę około swej osoby. Dozwala, a nawet przykazuje pozostawać przy sobie, gdy narady z panami odbywa. To człek słucha, słucha, dziwuje się, aż w końcu rozumie każde wypowiedziane słowo.

— A gdzież te narady, tatusiu?

— Tam, w dolnej pieczarze, na dnie przepaści.

— Co? Po linie się pany spuszczają?

³¹miasto (tu daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

³²wśród pięćdziesiąt lat — w ciągu pięćdziesięciu lat; najazdy mongolskie na Polskę miały miejsce w latach 1240–1241, 1259–1260 i 1287–88. [przypis edytorski]

— Jakoż inaczej? I to jeszcze po ciemku, bo ino nocami się schodzą. Jeden raz tylko raczył najmiłościwszy król trudzić się do górnej jaskini z moją pomocą, a to było tego wieczora, gdy staruszek kanonik przybył tu od arcybiskupa z Gniezna. Słabowity to człek, nijakiej siły w rękach nie ma.

Dąbkowa pochyliła się nad łóżkiem.

— Jakoż ci jest, synku? Nie boli nic?

— Jużem zdrowy, matusiu... ino mi się jeść chce okrutnie.

— O raju... chleba z masłem ci przyniosę, zaczem³³ się kasza zgrzeje.

— Ino mnie pocałujcie pierwej, i odpuście z serca.

— Niech cię Pan Jezus błogosławi. Tyle ci rzekę.

Pobieгла do komory, a synek objął ojca za szyję i przytulił się do niego pieścizotliwie.

— Tatusiu przezłocisty... nad żywot was miłuję!

Waluś zmiatał kaszę, aż mu się uszy trzęsły. Raz wraz poglądał, to na ojca, to na matkę, i uśmiechał się. Prawdziwie mógł powiedzieć, że mu kamień spadł z serca.

ROZDZIAŁ CZWARTY. W OJCOWSKICH PIECZARACH

Kilka dni minęło; gospodarskie zajęcia Walkowego tatusia i jego służba przy księciu Władysławie szły zwykłym trybem: rano robota w polu, w południe pospieszne obiadowanie i tajemna wyprawa do skał z dwojakami. Czterej młodszy bracia Dąbkowie biegali raz wraz do Krakowa i innych miast Małopolski z listami albo ustnymi zleceniami królewskimi. Zaczem nocą zjeżdżali się wezwani do Łokietka rycerze i odbywały się poufne narady. Inni starsi gospodarze, świadomi tajemnicy i niebezpieczeństwa, utrzymywali straż w kruzgankach podczas tych zebrań u króla, by się tam nie wkradli zdradliwi Czesi, a zwłaszcza Wrzecisław, o którego zamiarach wiedziano od najstarszego z Dąbków.

Wysłańcy ze wszystkich dzielnic Polski donosili miłościwemu Panu, że rycerstwo gotuje się do walki; po dworach i gródkach kupi się młodzież zdalna do boju, każdy wedle swego *zawołania* ma się stawić na dane hasło, pod znak najstarszego z rodu. Wszystkie te przygotowania czynią się ostrożnie, jak najmniej widocznie. Zjazdy rycerskie pokrywają się pozorem łowów, zrękowin, wesel, aby tylko uspić czujność starostów i starszyzny wojskowej czeskiej, dowodzącej załogami po miastach.

Podczas gdy Władysław Łokietek rozpytywał o szczegóły i wydawał rozporządzenia, Dąbek doglądał kaganków, zaświecał smolne trzaski, wtykał je w szpary i łowił chciwym uchem każde słowo. Śpiąca dusza ciemnego, zapracowanego chłopca budziła się do życia. Jak zboże na nowinie, tak bujnie wzrastała w jego sercu miłość ojczyzny.

Pewnego południa, właśnie co powstali wszyscy troje od misy, Waluś pociągnął ojca za rękaw i wybiegł poza chałupę.

— Chciałeś czego, syneczku? — zapytał Dąbek zdziwiony.

— Cośbym wam rzeknął, a nieradbym, żeby się matusia strachali niepotrzebno.

— Możesz gadać śmieje; przyspasabia obiad dla miłościwego pana, nie wyjdzie do nas.

— Tatusiu... widzi mi się, że... źle z nami.

— W jakim sposobie?

— Czeska potwora coś miarkuje.

Ojciec zachnął się.

— Niby że co?

— Ano, spotkałem go wczoraj, pokłoniłem się i czekam, żali mię o co zapyta. Pojrzał spodełba, jak ten wilk, machnął ręką, i poszedł, ani się odezwał.

— Może miał jakie insze myślenie.

— A znowu dziś, inom wybiegł z rana przed wrota, patrzę ku *Modlącej Królownie*, moi ludzie... a to co nowego? Ktoś stoi na szczycie. Z takiej dalekości nie mogłem nic rozeznaczyć, więc biegnę w te pędy ku skałom, bo odkądście mi powiedzieli o tych wielkich rzeczach, wciąż ino się trapię i wszystkim się niepokoję. Łaska boska, że mam oczy bystre, poznałem rycerza ze Żlebu, zanim on mię dojrzał. Rękoma się od jasności zasłonił i rozpatrował się pilno a długo na wsze strony. Tedy pomyślałem, że was muszę prosić, abyście mnie ze sobą brali, ilekroć idziecie do jaskini.

³³zaczem (daw.) — potem, następnie. [przypis edytorski]

— Chrobaczkę najmilejszy, jakoż mię bronil będziesz? — z pobłażliwym uśmiechem rzekł ojciec.

— Do obronim za słaby, to się wie. Ale stać u wejścia i powiadomić was, gdyby się co złego święciło, na to się wam srodze przydam.

— Prawda twoja. Wstydno mi, że sobie dworowałem z roztropnego dziecka.

— Ano, to i dziś pójdziemy razem; dobrze, tatusiu?

— Dobrze. Ino ty idź po drugiej stronie rzeki, a dopiero jak w czeluść wleżę, możesz się przybliżyć i dawać pozor.

Dobrze się Waluś domyślał: rycerz Wrzecisław ze Żlebu zaczął go istotnie podejrzewać od kilku dni o chytrą i kłamstwo. Pierwsze, co zwróciło jego uwagę, było owo opowiadanie o niedźwiedzich śladach, którymi go chłopiec postraszył. Zaraz nazajutrz wziął ze sobą kilku zbrojnych ludzi i poszedł z oszczepem na upragnione z dawna łowy. Skierował się prosto w stronę, o której Waluś mówił, przetrząsnął lasy i wzgórze dookoła, nie znalazł nic. Za to wydeptanych ścieżek było kilka, wszystkie zbiegły się w jedną, ta jedna zaś zniknęła w kolczastych zaroślach i stromych urwiskach. A zapewniał go przecie malec, że ani mowy, by się kto miał ukrywać w tej stronie. Gdzież więc chodzono owymi ścieżkami, kto chodził i do kogo?

Rycerz rozszerzył dalej swoje badania, zapuścił się na drogę ku Krakowu; uderzyło go, że na zakręcie gościńca widniały gęste ślady kopyt końskich, trawa była do cna stratowana, a kora u kilku drzew otarta w pewnej wysokości do żywego. Nietrudno było dorozumieć się, że tu często konie wiano, że stały one długo, niecierpliwily się czekaniem i szarpały wiązające je do drzew rzemienie. W tym miejscu więc jeźdźcy jacyś zsiadali z koni i szli ku skałom, bo tak właśnie wskazywały piesze ślady na wydeptanych ścieżkach.

— Straszny mnie niedźwiedziami — pomyślał rycerz — zatem zna tajemnicę, i chce mię obalamucić. A więc właśnie ino tutaj będę szukał.

Czaił się między drzewami, wylazł na szczyty, podpatrywał, aż i złapał nić prowadzącą do kłębka... dwa razy ujrzał chłopca z dwójkami, zdążającego w zarośla. Nim dobiegł w to miejsce, ślad się urywał i mimo całej swej przebiegłości nie mógł Wrzecisław rozwiązać zagadki. Jednak nie dawał za wygranę. Sprawdziwszy, że ów człowiek niesie jedzenie zawsze w samo południe, brał codziennie o tej porze dziesięciu żołnierzy z grodu i tym kazał czekać na siebie w pobliskim lesie. Sam zaś ukryty za krzaczastą leszczyną czyhał na chłopca tuż przy miejscu, gdzie mu zniknął z oczu, jakby w ziemię zapadł.

— Raz go przecie doścignę — tak rozumował — dowiem się, gdzie idzie, a skoro się upewnię o tym, co mi potrzeba, uśmierzę chłama, żeby nie miał czasu przestrzec nikogo. Otoczę mym żołnierstwem gniazdo i dostanę skalnego sępa.

Dąbek i Waluś szli z dala jeden od drugiego; nie spotkali po drodze żywej duszy, nie podejrzanego nie wpadło im w oczy.

Ojciec wsunął się w rozpadlinę, syn zasiadł na czatach.

Zaszeleściły gałązki, struchlałym oczom chłopca ukazał się rycerz Wrzecisław. Kopnął go nogą.

— Wstawaj szczenię zatracone... prowadź!

— Dokąd? — spytał Waluś, udając, że nie rozumie, aby zyskać na czasie i opamiętać się.

— Tam gdzie ów chłop z obiadem poszedł.

— Co wasza miłość chce ode mnie? Nijakiego chłopca nie widziałem.

— Prowadź! Jeszcze jedno słowo, a łeb ci mieczem rozplątam!

— O Jezu... — westchnęło dziecko — miałby sam znaleźć drogę, wolej go poprowadzę. Matko boska, ratuj!

I z bijącym sercem puścił się w ciemny kruzganek.

Rycerz Wrzecisław potykał się co chwila, uderzał głową o sterczące górą złomy i sypał tysiące przekleństw, a Walusiowi ani się śniło przestrzec go, że takie niespodzianki jeszcze się kilkanaście razy powtórzą. Wyprzedzał go i przemyślał, co robić... jak tatusia ocalić. Ach... i tego króla miłościwego, za którym mówili tatuś, że cały Ojców skoczy w ogień.

Jakaś dobra myśl błysnęła mu w głowie.

— Już niebawem; panie, dogonicie owego człeka, co do zbója idzie.

— Aha, teraz wiesz o nim? Czego łągałeś pierwej?

— Ano, bałem się jego, bałem się was. Chcieliście mnie zabić, to was muszę słuchać, a onemu ucieknę; może się nie dowie, że to ja was powiodłem.

— Uciekniesz... o tak... — mruzczał pod nosem rycerz — posłę was obu na tamten świat.

— Tędy, panie, tędy na prawo.

Zawrócił w niewłaściwą odnogę krużganka; Wrzecisław nie uważał, że dziecko, biegnące dotąd przodem, nieznacznie zwalniało kroku.

Tu równo, bezpiecznie, ino prosto przedsię — rzekł Walus i korzystając z głębokiej ciemności, przystanął cichusieńko w rozpadlinie skały.

Wrzecisław stąpał wolniutko, macając przed sobą rękoma... chłopiec skoczył wstecz, i powrócił na główny korytarz, stamtąd na lewo, gdzie już robiło się widniej i czwałem prawie bez tchu dopadł pierwszej jaskini, zwanej *Komnatą*. Ojca już tam nie było!

A głośnie wrzaski i kłątwy rycerza, który się prędko połapał i gnał za nim, dolatywały z głębi coraz wyraźniej. Walus ledwie żywy przebiegł z Komnaty w dalszy krużganek i chwycił ojca za poię, właśnie w chwili, gdy ręką sięgał po linę.

— O rety... tatusiu... skryjcie się do kąta!... Idzie już, idzie...

Jakkolwiek wiedział Wrzecisław, że chłop z dwojakami nie miał bronii przy sobie, a przy tym nie spodziewając się napaści, był sam jeden, jak co dnia, przecież w obawie jakiejś zasadzki dobył od razu mieczyka z pochwy i tak wpadł w krużganek o szerokim oknie. Jaskrawy blask słonecznego nieba olśnił go, mrugnął powiekami, przetarł oczy...

Prócz struchlałego dziecka, nie dojrzał nikogo.

— Oszukałeś mnie, psi synu! — krzyknął wściekle. — Teraz ci koniec zrobię!

Walus skoczył ku oknu, by odwrócić uwagę rycerza od bocznej ściany, gdzie stał ojciec skurczony za kamieniem.

— Nie, nie, nie... Nie zabijajcie panie! Wszystko wam powiem.

— Ino prawdę! Bo cię zesiekę na mlóto.

— Prawdę, panie. Jeden raz tego roku byłem w tych jaskiniach, nie dziwota, żem zmylił ścieżkę... zamiast w lewo, powiodłem was na prawo. Kiedym się opatrzył, że źle, wybiegłem szukać drogi; znalazłem ją i zaraz wołałem na was z całej siły. Nie dosłyszeliście chyba?

— Gdzież się podział ów człek z dwojakami? — spokojniej przemówił rycerz. — Czy za tym otworem jest jakie zejście ku innym skałom?

— Nie wiem... może to być... — szepnął Walus i zasłonił oczy rękoma.

Albo rycerz spuścił się po linie, trafił do miłościwego pana, i napadłszy go z nienacka, zamorduje, albo rozejrzy się dokoła siebie i zobaczy tatusia. A wtedy... wtedy śmierć jemu, śmierć tatusiowi!

Wrzecisław stanął u otworu i wychylił się trochę.

— Cóż to? Niczem z wieży człek patrzy... głębia niezmierna...

Wyrzał w lewo, w prawo, spostrzegł linę.

— Aha... takowym sposobem nawiedzają buntownicy swego żebraczego księcia!

Schowwał miecz w pochwę, przykląkł jednym kolaniem na oknie i w sparłszy się jedną ręką o krawędź skały, drugą sięgał po linę.

W tej chwili Dąbek, cicho i szybko jak żbik, skoczył i dużym ciężkim głazem rzucił z całych sił na Czecha...

Ugodzony w plecy zachwiał się, rozkrzyżował ręce, i runął przez otwór na dół z nie-ludzkim wrzaskiem.

Ojciec i syn stali przez parę sekund w skamieniałym osłupieniu, wsluchani w ciszę, wśród której doleciał ich głuchy łomot ciała uderzającego o dno przepaści.

Walus dygotał jak w febrze. Ojciec podszedł ku niemu, wyciągnął rękę, chciał przemówić, nie mógł dobyć głosu.

Chłopiec zasłonił twarz rękoma i nagle trysnęły mu z oczu łzy.

— Rany... tatusiu... cóżeście... — jęknął szcękając zębami.

— Com uczynił? Ubiłem wściekłego psa — odparł Dąbek ponuro. — Idź do domu synku... muszę z obiadem do króla.

— Co? Tam na dół?... tam... gdzie... on?

Ojciec przesunął ręką po czole.

— Onemu już wszystko jedność... a król głodny. Idź; matce nie powiadaj słowa. Zmów trzy pacierze za... umarłych.

Słońce zachodziło czerwono, gdy z gaju brzozonego wracali żołnierze na gród do Skały. Nie doczekali się rycerza Wrzeczysława; ale że często bywał w Polanie tuż pod Ojcowem, u krewniaka, a również często jeździł do Krakowa, dorozumieli się, że i dziś tak uczynił.

— Hu... jaki zachód krwawy! — zawołał jeden z łuczników.

— Diabli się żenią — roześmiał się drugi.

— Nie, czarownice jady smażą! — krzyknął trzeci.

— Pustych łbów ino fraszki się trzymają — zgromił wojaków stary wachmistrz. — Tu śmiechu nie ma: człek jakiś w śmiertelnym grzechu żywot zakończył.

Zabobony

I znowu minął tydzień. Waluś uspokoił się po doznanych strasznych wrażeniach; rozumiał, że tak się stać musiało, a gdyby się stało inaczej, byłby król stracił wolność, a może i życie.

Wieczór zapadał, matka wypoczywała po pracy na przyzbie przed domem; Waluś oglądał swoje skarby, różnokolorowe kamyki i muszelki rzeczne, których miał pełną korbaleczkę. Z pola wracał ojciec.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki.

— Ano dziękować panu Jezusowi, już co ludzkie ręce zdolą zrobić, wszystko gotowe. Zorane, zasiane, przywłócone. Teraz ino prosić boskiej Opatrzności o deszcz, o pogodę, co tam kiedy potrzeba — rzekł Dąbek, ocierając czoło rękawem.

— Pewność głodny? — spytała żona — migiem przystroję wieszczę.

Gdy weszła do izby, ojciec odezwał się półgłosem:

— Waluś, radbym ci uciechę sprawił, boś poczciwe dziecko.

— A co?

— Wezmę cię dziś ze sobą do króla.

Chłopak przytulił się do ojcowego ramienia i szepnął:

— Boję się...

— Czego, synku? Ówten już dawno w ziemi; pomsty szukał nie będzie, bo sam winien swej śmierci. Przecz³⁴ dybał na życie królewskie? Nie trzeba o tym myśleć ani gadać. Jakiem ja miał noce od tego czasu, tego język nie wymówi; a ino się wypowiedział przed onym księdzem z Płocka, co wczoraj do naszego pana przyjechał, to całą zgryzotę jak ręką odjął. Przyszło uspokojenie, przyjdzie i zapomnienie. No, synku, pójdziemy?

— Skakałbym z uradowania, gdyby nie...

— Cicho Waluś, matka idą.

— Chyć mi się za szyję, a nogami obejmij mnie w pasie. Teraz cię jeszcze przywiążę do się rańtuchem³⁵, bo tak matusia kazali.

Przeżegnali się obaj, Dąbek ujął linę mocno i oparł nogę na pierwszym węźle. Zakolysał się sznur w prawo i w lewo.... ciemnica niezgłębiona wzrokiem otoczyła ich.

— Waluś... pofolguj... ściskasz mi gardło, że tchu złapać nie mogę.

— Kiej mi się zda, że spadam... rety... mój tatusiu złocisty... lecę na dół!...

— Cichaj, brzdącu jeden! Dosyć mam własnego strachu, a ten mi jeszcze dodaje. Cichaj, mów Zdrowaś, to ci raźniej będzie. Ino nie na pytel, powoluśku; mów głośno... a do mnie się nie odzywaj. No, widzisz, już my na ziemi.

— O Jezu... ciemno... — szepnęło dziecko.

— Zaraz zaraz, od czego krzesiwo?

Błysnęła iskierka, spod skalnego występu dobył chłop kaganek i zaświecił. Równocześnie, jakby zawstydzony tym słabym płomykiem, co wkraczał w jego prawa, biały sierp księżycy wysunął się spoza chmur.

³⁴przech (daw.) — po co, dlaczego. [przypis edytorski]

³⁵rańtuch (daw.) — chusta. [przypis edytorski]

Waluś obejrzał się dookoła. Urwiska postrzępane, kilkadziesiąt stóp wysokie, otaczały ciasnym półkolem stromą, gładką jak mur ścianę skalną, i przylegały do niej tak szczelnie, że ani najszczuplejsze dziecko nie byłoby w stanie wydostać się z tej czeluści. Owa lina jedynie była wejściem i wyjściem z kamiennej studni.

— Rety, co za wysoczyzny! A ja myślałem, że znam wszystkie zakątki ojcowskie — zdumiewał się Walek.

— Pójdź, synku; co ci ta o skały, śpieszno mi.

Zaledwie postąpili cztery czy pięć kroków, ukazało się wejście do jakiejś jamy. Było ono tak niskie, że ojciec musiał przykłęknąć, a i Waluś schylił głowę, włączając do wnętrza. Krótki wąski krużganek prowadził do rozległej pieczary o wysokimi stropie, zdobnym jako i inne jaskinie w wapienne stalaktyty.

Izba ta oświetlona była jasno kilkoma kagankami i smolnymi szczapami, powtykanymi w szczeliny. Na środku, po obu stronach długiego kamiennego stołu, siedzieli mężowie o poważnym, wspaniałym obliczu. Nawet tak mały chłopiec jak Waluś zrozumiał, że nie są to wiejscy ludzie, chociaż odziani byli w sukmany i postoly mieli na nogach. U górnego końca stołu, sam jeden, na szerokim gładzie, ów człek tajemniczy w kożuchu i barankowej czapie, upragniony przez całą Polskę przyszedł król, książę sieradzki Władysław Łokietek.

Dąbek stanął u wejścia pokornie, zasłaniając sobą synka, lecz bystre oko księcia dostrzegło go natychmiast.

— Przybliżcie się, gospodarzu! — zawołał — przybliżcie się, a radujcie się społem z nami. Oto nowi posłowie, tym razem z Mazowsza i od Gniezna, przynieśli mi dobre wieści. Co widzę? Pacholątko jakiegoś wieździejca do mnie? Żali to roztropnie dzieciaka wtajemniczać w rzeczy tak wielkiej wagi?

— Panie najmiłościwszy... to mój syn jedyny. Przyrzekłem mu dziś nagrodę za poczciwe sprawowanie, godziło się dotrzymać słowa. A że w młodych latach³⁶ lepiej milczeć umie, niż niejeden stary, tom się przekonał. Kruszyna ta, miłościwy Panie, podała się w służbę waszą z całej duszy.

Objął księcia pokornie za kolana i cicho szepcząc, coś mu opowiadał.

— Sprawiedliwie podziwu godne! — zawołał Władysław; i również po cichu rozmawiał z panami.

— Zaiste, ciężar był nad siły dziecka — rzekł jeden z posłów. — Mogło omdleć z przerażenia, a stawilo nieprzyjacielowi czoło, jak prawy rycerz.

— Tedy rozumiałem — nieśmiało mówił dalej Dąbek — że płaca winna być równa zasłudze. Przywiodłem tu malca, by za waszym najmiłościwszym pozwoleniem, jeden raz w życiu oglądał oblicze polskiego króla.

Władysław skinął ręką łaskawie.

— Waluś, pójdź ino, nie bój się — miłościwy pan cię woła.

Chłopiec padł na kolana i wznosił ręce w górę, jak to czynią modlący się ludzie w kościele. A Władysław Łokietek, ten twardy, goryczą tułactwa pojony, niedolą zahartowany mąż, uśmiechał się łagodnie i pieszczotliwą ręką gładził ciemną czuprynkę Walusia.

Rozpoczęły się obrady; posłowie zdawali sprawę z tego, co się dzieje w bliższych i dalszych ziemiach polskich. W całym kraju wrzało... Znienawidzony Wacław czeski, zawsze tylko przez okrutników i zdzierców rządzący, nie miał stronników ani przyjaciół między Polakami, tylko jawnych lub skrytych wrogów.

Wysłuchawszy przemówienia kasztelana plockiego, Łokietek dodał, jakoby dopełniając jego myśli:

— A gdy zważymy, że czeski król tchórzliwie, dla chwilowego spokoju, poddał swą koronę w lenno cesarzowi, słusznie możemy się lękać, że zarówno i Polskę zechce ugiąć pod jarzmo. Do tego przenigdy dopuścić nam nie wolno.

— Przenigdy! — zawołali wszyscy jednogłośnie.

— Wiercie mi, wasze miłości, nie dla zadowolenia swej pychy, nie z łakomstwa na błyskotliwość korony, wiodę przez lat piętnaście nędzny żywot tułacza...

— Wiemy, panie miłościwy, że ino dla dobra ojczyzny pracujecie! — zawołał z przejęciem wojewoda gnieźnieński.

³⁶w młodych latach (daw.) — w młodych latach, za młodu. [przypis edytorski]

— Odbyłem daleką drogę do Rzymu — mówił dalej Łokietek — w takim celu, by przedstawić Ojcu świętemu krzywdy nasze. Jemu to, co znaczy Stolicy rzymskiej, pradiad nasz Mieszko oddał polskie kraje w duchowe poddaństwo. Nie ziemskich królów holdownikami jesteście, ino bożego namiestnika. Nawet czynsz lenny, czyli świętopietrze płaciliśmy wiernie Rzymowi, a prawo koronowania królów naszych stolica apostołska nadawała. Tak z wolą i błogosławieństwem papieża koronowan był poprzednik nasz Przemysław, zdradziecko przez wrogów Polski zamordowany.

Dobiesław z Melsztyna rzekł:

— A Wacław kazał się samowolnie namaścić i koronować w Gnieźnie, zaś o świętopietrze nie chce słyszeć.

— Wszystko to wiadome jest Ojcu świętemu. We mnie uznaje on prawego dziedzica tronu, i mnie błogosławił na znojną pracę złączenia w jedno rozdzielonej niemal przez dwa wieki nieszczęsnej ojczyzny.

— Nadeszła pora, miłościwy panie! Wstanie Polska, w tobie nasza nadzieja! — zawołali postowie.

— Gdy wszystek lud, co do jednego człowieka, żąda czego niezłomną wolą, stać się to musi niechybnie, jako niechybnie Bóg światem rządzi — rzekł król uroczyście.

— Amen! — zakrzyknęli wszyscy.

W rok później, dnia 15 maja 1306, zasiadł Władysław Łokietek na wawelskiej stolicy. Koronowany dopiero po latach czternastu, 20 stycznia 1320.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/domanska-krolewska-niedola>

Tekst opracowany na podstawie: Antonina Domańska, *Królewska niedola. Powieść z czasów króla Łokietka*, nakł. i druk Drukarnii i Księgarnii św. Wojciecha, Poznań 1916.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Marty Kierepki. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Anna Wołek, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: [daveynin@Flickr](https://www.flickr.com/photos/daveynin/), CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0199-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając [zbiórkę na stronie wolnelektury.pl](https://www.wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](https://www.fundacja.nowoczesnapolska.org.pl/).